



Widok na Rio-Janeiro od strony morza.

Missya Dominikańska w Brazylii.

Niniejszy artykuł skreśliliśmy podług łaskawie nam udzielonego sprawozdania Prowincyała Ojców Dominikanów z Tuluzy, jakie przedłożył Generałowi Zakonu Przew. O. Andrzejowi Frühwirthowi, po odbyciu wizyty kanonicznej klasztorów Dominikańskich w Brazylii r. 1893.

I.

Odkrycie i nazwa Brazylii. — Założenie missyi Dominikańskiej.

Po odkryciu wielu nieznanych lądów przy końcu XV wieku przez Krzysztofa Kolumba, Vasco de Gama, Albuquerque i innych żeglarzy, w r. 1500 świat ucywilizowany dowiedział się przypadkiem o istnieniu rozległej krainy, która otrzymała później nazwę Brazylii. Wówczas właśnie Portugalczycy urządzili wielką wyprawę do Indyj Wschodnich i sławny żeglarz Vasco de Gama skreślił dla dowódcy tej wyprawy, Cabrala, instrukcję, w której mu radził płynąć ciągle na południe, aby skorzystać z wiatrów *passatów*, powiewających w tym kierunku. Cabral posłuchał jego rady i niespodzianie w tem właśnie miejscu, w którym się kończą północno-zachodnie *passaty*, napotkał rozległe obszary, nieznanego dotąd lądu. Tam wylądował i zatrzymał się na dni kilka, a zatknąwszy krzyż na wybrzeżu, nazwał nową ziemię Terra de Santa Cruz. Następnie opisał ją jak umiał i wysłał jeden z małych okrętów, zwanych *carovelas*, z powrotem do Portugalii, aby ówczesnego króla Emanuela zawiadomić jak najrychlej o szczęśliwym odkryciu.

Zamiast jednak pozostać w obrębie nowej posiadłości i zdobyć ją dla Korony portugalskiej, Cabral popły-

nął dalej, nie troszcząc się wcale o swoje odkrycie. Tymczasem król Emanuel zawiadomił o niem niezwłocznie wszystkich chrześcijańskich monarchów, dodając, że nową tę ziemię bierze w swe posiadanie i potwierdza uroczyście nazwę *Terra de Santa Cruz*, nadaną jej przez Cabrala. Nazwa ta atoli nie długo się utrzymała, wkrótce bowiem zamieniono ją powszechnie na miano Brazylii. Niepodobna orzec stanowczo, z kąd ostatnia nazwa ta pochodzi.

Podług ogólnego mniemania, pomiędzy osobliwościami nowej krainy, najbardziej uderzyło Europejczyków drzewo *baobrazil*, o białej korze a czerwonym rdzeniu, z którego Indyanie jaskrawą wyrabiali farbę. Kolor tej farby podobny był do rozżarzonych węgla, zwanych po hiszpańsku *brazero*. Jednakowoż trudno określić, czy nazwa Brazylii pochodzi od tego, że kolor rozżarzonych węgla przypominał barwę drzewa zwanego przez krajowców *pitanga*, czy też gorąco ich przypominało podrównikowy klimat tej krainy. W każdym razie jeszcze dziś drzewo *pitanga* zowie się po portugalsku *baobrazil*, rdzeń zaś ma istotnie czerwony, chociaż farby z niego już nie wyrabiają.

Z początku Portugalczycy nie wiele dbali o nową posiadłość i dopiero w drugiej połowie XVII wieku, oraz w pierwszych dziesiątkach XVIII wieku, zaczęli budować tam forteczki w celu zabezpieczenia brazylijskiego terytorium od napaści Hiszpanów, którzy byli już wówczas panami Paraguaju. Przez czas długi jednak w Brazylii nie napotykamy żadnej władzy administracyjnej w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Po niezmiernych, bezludnych obszarach błakali się tylko tu i owdzie Gaucrosi, to jest metysi, pochodzący ze zmieszania się rasowego Portugalczyków z krajowcami. Na mapach atoli oznaczono Brazylię już jako posiadłość portugalską, ponieważ Papież Aleksander VI nadał uroczyście całe terytorium brazylijskie aż do rzeki La-Platy a *Sua Majesta fidelissima*, tak bowiem portugalscy tytułowali się królowie.

Autochtonowie południowej Ameryki różnią się znacznie nawzajem od siebie, stosownie do tego, czy mieszkają w północnej, czy też w południowej części olbrzymiego tego lądu, różnica zaś ta nie pozostała bez wpływu na stosunki pomiędzy nimi a europejskimi najjeźdźcami. Źródła jej należy szukać w przyrodzonych warunkach danej krainy. — W północnej części Ameryki Południowej, ciągną się lasy i góry, odosobniające

człowieka od innych jego braci i czyniące go bojaźliwym, łagodnym, spokojnym, a nawet fizycznie słabszym od sąsiadów, osiadłych na dolinach. Przeciwnie, na południe roztaczają się niezmiernie stopy, które skłaniają ludzi do ugrupowania się razem, w celu udzielania sobie wzajemnej pomocy i czynią ich bardziej przedsiębiorczymi, odważnymi, zuchwałymi, skłonny do stawiania oporu istotnym lub mniemanym nieprzyjaciołom.

Dlatego to Portugalczycy, zaludniając stopniowo podrównikowe wybrzeża Atlantyku, napotkali tam z początku ludność spokojną i łagodną, którą z łatwością zdołali zmusić do posłuszeństwa i pracy. Wprawdzie niekiedy pomiędzy nimi a krajowcami wybuchały zatargi, ale się to zdarzało nader rzadko, ponieważ nowi przybysze mieli do czynienia z jednostkami, nie zaś z nawpół dzikiem społeczeństwem.

Natomiast dalej na południe napotkali jakby zarodki dzikich wprawdzie, lecz już organizujących się państwów i zetknęli się z ludźmi, którzy bez rozpaczliwego oporu nie myśleli im się poddać. To właśnie powstrzymało europejskich awanturników od zapuszczania się w głąb południowych zakątków Brazylii i to tak radykalnie, że i dziś nawet wewnątrz niektórych brazylijskich prowincyj jest zupełnie nieznane, gdyż z obawy dzikich, biali nie śmieją tam się przedostać. To też zdobywcy oddawna doszli do przekonania, że dzieła ucivilizowania tubylców dokonać tylko mogą misyjonarze i w tym celu starali się dla Brazylii pozyskać kapłanów. Kilka zakonów uczyniło zadość tak słusznemu żądaniu, wysyłając tam swych członków, ci zaś w ewangelizowaniu tej krainy, wielkie istotnie położyli zasługi. Jedni tylko synowie św. Dominika, którzy wszystkim niemal pogańskim krajom dostarczyli gorliwych misyjonarzy, nie rychło jeszcze rozwinąć mieli w Brazylii apostołską swą pracę.

Wystawszy w ślady Vasco de Gama, Albuquerque'a i innych żeglarzy, liczne grono apostołów do Afryki lub Indyj Wschodnich, Ojcowie portugalskiej prowincyj zakonnej, spostrzegli, że personal ich był stosunkowo za szczupły, aby móżdż zaopatrzyć duchowne potrzeby południowo-amerykańskich ludów, oczekujących od tak dawna Dobrej Nowiny. Dopiero po upływie czterech stuleci od chwili odkrycia Brazylii, pierwsi kapłani z zakonu św. Dominika dotarli do tej odległej krainy, tak piękne rokującej nadzieje. Stało się to w następujący sposób.

W r. 1881 jeden z członków zgromadzenia św. Wincentego à Paulo, X. Klaudyusz Gonzalvez Ponce de Leon został mianowany biskupem Gojazu. Dyecezya Gojazka, leżąca w samym środku Brazylii, nader daleko od wybrzeża, obejmuje całą prowincję tegoż nazwiska wraz ze znaczną częścią prowincyj Minas-Geraes. Terytorjum tej dyecezyi, trzy razy większe od francuskiej Rzeczypospolitej, jest stosunkowo bardzo mało zalu-

dnione, gdyż ilość jego mieszkańców dochodzi zaledwie do 250.000 osób. Cała dyecezya dzieli się na kilka parafij, daleko rozleglejszych od niejednego europejskiego biskupstwa.

Trudno niemal zrozumieć, w jaki sposób jeden kapłan może zaspokoić duchowne potrzeby swych wiernych, na tak znacznej rozproszonych przestrzeni. Najlepsze jednak pojęcie o smutnem położeniu ludności tej dyecezyi dać nam może fakt, że większa część parafij nie posiada dotychczas ani księdza, ani kościoła, tak, że niekiedy jeden kapłan musi wykonywać obowiązki swego powołania względem mieszkańców dwóch lub trzech parafij, chociaż taki ogrom pracy przechodzi częstokroć jego siły.

Łatwo można się domyśleć, że X. biskup Gonzalvez Ponce de Leon, natychmiast po objęciu swej dyecezyi, postarał się zaradzić o ile możności tak opłakanym stosunkom. Pragnąc, aby na przyszłość żadna parafia nie mogła się uskarżać na brak proboszcza, gorliwy Biskup powziął zamiar założenia w swej dyecezyi kilku misyjnych posterunków, przeznaczonych dla misyjonarzy, którzy przebiegając kraj we wszystkich kierunkach, głosiliby Słowo Boże, udzielali Sakramentów świętych, słowem pracowali o ile możności dla dobra dusz nieszczęśliwych mieszkańców. Rzeczywiście w taki tylko sposób ewangelizacja tej krainy systematycznie może się odbywać.

W celu urzeczywistnienia swego zamiaru X. biskup Gonzalvez zwrócił się do zakonu św. Dominika. Podczas pobytu w Rio-Janeiro, jako profesor seminarjum, czcigodny ten pasterz zabrał bliższą znajomość z O. Signerin'em, Dominikaninem, wysłanym tamże w r. 1878 przez swoich przełożonych w celu zbadania gruntu, na którym działalność misyjonarzy mogłaby się rozwijać.

Po wyniesieniu na stolicę biskupią, X. biskup Gonzalvez przypomniał sobie gorliwego zakonnika, którego sama Opatrzność postawiła niegdyś na jego drodze i prosił prowincję tuluzką o przysłanie pewnej ilości kapłanów, niezbędnych dla jego dyecezyi.

Wówczas właśnie rząd francuski wprowadził w życie wiele bezbożnych dekretów, zamknął mnóstwo kaplic i zmusił zakonników do opuszczenia swych klasztorów, nowicyuszów zaś do szukania przytułku zagranicą. — Mimowoli więc nasuwało się pytanie, czy dla Zakonu św. Dominika nie należałoby utworzyć nowego pola pracy po za obrębem niegościnniej Francji.

Zresztą prowincja tuluzka nie miała jeszcze żadnej missyi zagranicznej. Ubolewano nad tem ogólnie, przełożeni zaś zakonni pragnęli wciągnąć jak najrychlej w zakres działalności swych kapłanów ewangelizacyjną pracę, którą św. Dominik cenił tak wysoko, i która tak bardzo odpowiada celowi kaznodziejskiego zakonu.

Chodziło więc o to, aby pewne grono misyiona-

rzy osiadło w kraju, gdzie hierarchia katolicka już kanonicznie ustanowiona została, ludność zaś za chrześcijańską uchodzi. — Nie należy jednak zapominać, że w prowincyi Gojaz żyje w stanie na wpół dzikim kilka indyjskich plemion. Zakonnicy więc mieli nadzieję, że zawiązawszy z nimi stosunki, zdołają wprowadzić je stopniowo na łono katolickiego Kościoła. Zresztą zachodnie pogranicze tej prowincyi jest jakby krańcowym punktem, do którego dotarły dobroczynne promienie oświaty i cywilizacji, po za nim zaś ciągną się niezmiernie przestrzenie, dotychczas jeszcze niezbadane całkowicie, gdzie Indianie wiodą od wieków życie koczownicze. Skutkiem tego dyecezya Gojazka zdaje się jakby przeznaczona, by się stać kiedyś punktem wyjścia dla missyjonarzy, którzyby się podjęli ewangelizowania dzikich plemion, osiadłych w prowincjach Amazonek i Matto Grosso.

Wreszcie sama nawet ludność tej dyecezyi na pozór tylko była chrześcijańską, smutny zaś jej los musiał obudzić litość i podniecić gorliwość missyjonarzy, pragnących zbawienia dusz nieszczęśliwych bliźnich. Z wyjątkiem nielicznych miejscowości, w których się znajduje proboszcz, wszędzie niemal sam ojciec chrzci nowonarodzone dziecię i niejednokrotnie się zdarzało, że ceremonii tej towarzyszyły dziwaczne, zabobonne praktyki, nie mające nic wspólnego z istotną formą Sakramentu Chrztu świętego.

Zbytecznym byłoby mówić, że wielu krajowców nie ma najmniejszego pojęcia nawet o elementarnych zasadach katechizmu, jeżeli zaś w niektórych rodzinach można jeszcze napotkać zewnętrzne praktyki religijne, to należy je raczej przypisać skłonności do zabobonów i przesądów, niżeli głębokiej pobożności i wierze.

Skoro więc X. biskup Gonzalvez zwrócił się do prowincyi tuluzkiej z prośbą o missyjonarzy, którym pragnął powierzyć pracę apostolską w swojej dyecezyi, przełożeni zakonni poczytali to za prawdziwe zrzęczenie Opatrzności i przed zawiązaniem negocjacji z czciogodnym tym pasterzem wysłali dwóch Ojców, oraz jednego Brata, w celu zbadania na miejscu warunków, w jakich działalność ich miała się rozwijać. Dopiero w roku następnym (1882), na kapitule prowincjonalnej, odbytej w Tuluzie, przyjęto ostatecznie propozycję X. Biskupa z Gojazu i postanowiono założyć w niewielkiej mieścinie, Uberabie, pierwszy klasztor pod wezwaniem św. Dominika. — Potem rozpoczęto bliższe negocjacje z X. biskupem Gonçalvez'em, który się zobowiązał dostarczyć missyjonarzom mieszkania i wypłacać im corocznie pewną kwotę na ich utrzymanie, oni zaś nawzajem mieli poświęcić ewangelizacyjnej działalności sześć lub siedm miesięcy każdego roku.

Taż sama kapituła prowincjonalna w Tuluzie wyznała pierwszych zakonników, których zamierzano wysłać do Brazylii, jako pionierów na nowem polu pracy.

W ciągu tego samego roku 1882 nastąpiło otwarcie klasztoru św. Dominika w Uberabie, personal zaś jego utworzono prowizorycznie z trzech Ojców i dwóch Braci. Nie brakło wprawdzie trudności, towarzyszących zwykle każdemu nowemu przedsięwzięciu, ale zacni kapłani szczęśliwie przewyciężyć je zdołali. Przedewszystkiem urządzenie domu, mającego służyć za klasztor, pociągnęło za sobą wiele trosk i kłopotów. Z drugiej strony kościół, powierzony nowym apostolskim pracownikom, był tak szczupły, ubogi i źle utrzymany, że należało niezwłocznie zabrać się do jego naprawy, tudzież zaopatrzyć go w niezbędne sprzęty i naczynia kościelne, aby móżdż w nim należycie odprawiać nabożeństwo. Wreszcie zakonnicy musieli sami bez pomocy nauczyciela, wyuczyć się portugalskiego języka, w przeciwnym bowiem razie nie mogliby ani głosić Słowa Bożego, ani też wypełniać obowiązków swego powołania. Wszystko to wymagało wielkiej gorliwości, odwagi i zaparcia się siebie; należy też przyznać, że missyjonarze nie szczędzili bynajmniej swych sił i trudów, i że pierwsze lata missyjnej działalności, musiały zostać zapisane na karcie ich zasług, które Bóg tylko widzi, rachuje i nagradza. Przypatrzmy się nieco bliżej tej missyi na brazylijskim gruncie, od chwili jej założenia aż do dnia dzisiejszego, kładąc główny nacisk na położenie, w jakim obecnie się znajduje.

II.

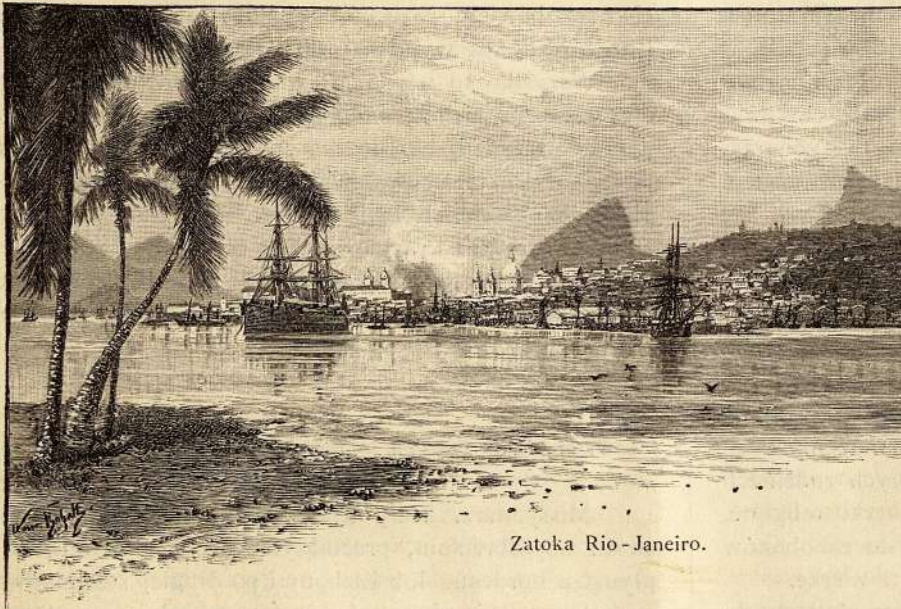
Przybycie do Brazylii. — Rio-Janeiro. — San-Paolo. —
Dalsza podróż.

Missyjonarz, który pragnie pospieszyć z pomocą swym współbraciom, pracującym w Brazylii, musi odpłynąć z Bordeaux lub Lizbony i po długiej stosunkowo żegludze, trwającej przeciętnie trzy tygodnie, przybywa wreszcie do Rio-Janeiro. Nie odrazu jednak może dotrzeć do wnętrza brazylijskiej stolicy, gdyż żaden z pasażerów nie ma prawa wylądować dopóty, dopóki na statku nie odbędzie się wizyta komisji cłowej i sanitarnej, która zabiera zwykle kilka godzin czasu. Z pokładu okrętu można więc wówczas napatrzeć się dowoli malowniczym brazylijskim wybrzeżom, widok zaś ten na każdym niemal nowoprzybyłym potężne i głębokie wywiera wrażenie.

Trudno zaiste wyobrazić sobie coś bardziej zdumiewającego, imponującego i majestatycznego, jak panorama gór, widzianych z zatoki Rio-Janeiro. Góry te istotnie przedstawiają najwspanialszy obraz na całej kuli ziemskiej, który tem silniejsze pozostawia po sobie wrażenie, że się różni całkowicie od górskich krajobrazów napotykanych w innych częściach świata, a zwłaszcza w Europie. Dzięki gorącym promieniom słońca i ogromnej wilgoci w powietrzu, trawa, drzewa i liany, nie tylko u podnóża, ale i na stokach gór, zdają się nawzajem prześcigać, tłocząc się, wijąc i pnąc w rozmaitych

kierunkach, albo też wspinają się na potężniejszych od siebie sąsiadów i czerpią z nich soki jako pasożyty.

Na takim nawet gruncie, który w innych warunkach nie zdołałby wyżywić żadnej organicznej istoty, jak na przykład na skałach granitowych i porfirowych w pionowym piętrzących się kierunku, zieleni się bogata roślinność, gdyż ciepło i wilgoć, nawet na powierzchni skały wytwarza niezbędny pokarm dla roślinnych organizmów. Dzięki temu, oczom zdumionego wędrowca przedstawia się zbita warstwa zieloności, pnąca się aż do samych szczytów górskiego łańcucha Serra do Mar albo Serra Geral, który się ciągnie równoległe z oceanem na całym wschodnim wybrzeżu Brazylii od równika aż do Urugaju.



Zatoka Rio - Janeiro.

Jeżeli jednak okolice Rio-Janeiro uderzają imponującą pięknnością, to sama stolica niczem wybitnem się nie odznacza. Zastępuje w niej chyba tylko na uwagę wielka różnaitość typów, to z ostremi lub spłaszczonymi nosami, to z jasnymi, gładkimi, lub czarnymi i kędzierzawymi włosami, na każdym bowiem kroku napotykają się tam przedstawiciele trzech główniejszych ras ludzkości, białej, czarnej i miedzianej.

Wszyscy prawie ci ludzie ubrani są czarno od stóp do głowy, nikt bowiem z mieszkańców, zajmujący jakiegokolwiek stanowisko społeczne, jak na przykład urzędnik, adwokat, lekarz, kupiec, lub przemysłowiec nie włoży nigdy innego kapelusza, jak tylko cylinder. Szare palto i słomiany kapelusz uważane tam są za oznakę nizkiego, gminnego pochodzenia. Wogóle Brazylijczycy chwytają chciwie, chociaż powierzchownie, zdobycze cywilizacji europejskiej, poczytując ubiory wizytowe Europejczyków, jako jedynie godne postępowego i oświeconego brazylijskiego narodu.

Dziwnie niemiły jest widok niezgrabnych tych lu-

dzi, atletycznej budowy ciała, pocących się wiecznie pod prostopadłymi promieniami słońca, a jednak ubranych zawsze w czarne sukienne surduty, po większej części wytarte i szkaradnie uszyte, tudzież w wysokie kapelusze, które już oddawna utraciły połysk. Biały ubiór i słomiane kapelusze noszą tu tylko cudzoziemscy turyści, chociaż nawet ci ostatni, pragnąc zawiązać stosunki z autochtonami, wyrzekają się jasnej, wygodnej odzieży, ażeby ich nie razić.

Wogóle charakterystyczną cechą mieszkańców brazylijskiej stolicy stanowi próżność, lekkomyślność i chępliwość, lecz zarazem niepodobna im odmówić wielu stron dodatnich, a zwłaszcza gościnności i dobroczynności. Rzecz nawet można, że nigdzie może filantropia nie jest tak dalece posunięta jak w Rio-Janeiro. Szpitale, ochronki, przytuliska i inne dobroczynne zakłady rozporządzają ogromnemi funduszami, do których rząd nie dodaje ani jednego milrejsa, wszystko bowiem jest dziełem ofiarności i wspaniałomyślności prywatnych obywateli.

Należy też przyznać, że większa część tych zakładów odznacza się wzorową czystością i porządkiem, Siostry Miłosierdzia zaś, przybyłe z Europy, prawdziwych tam dokonywają cudów.

W Rio-Janeiro istnieje również kilka rezydencji OO. Lazarystów, w których każdy misjonarz, przybywający ze starego świata, serdeczną zawsze znajduje gościnność. Niestety, żółta febra, groźna zwłaszcza dla osób nieoswojonych z brazylijskim klima-

tem, obrała sobie stałe siedlisko w rozległej tej stolicy. Dlatego każdy nowy misjonarz, który nie potrzebuje przez czas dłuższy tutaj się zatrzymywać, stara się o ile możliwości skrócić swój pobyt i wyrusza jak najrychlej koleją żelazną do miasta Uberaby.

Z początku droga ciągnie się wśród miejscowości niezbyt malowniczej, w której oko podróżnika oprócz budynków kolejowych, napotykanych tu i owdzie, nic więcej nie dostrzega. Stopniowo jednak krajobraz staje coraz piękniejszy, tak, że wędrowiec przygląda mu się ze zdumieniem, a wreszcie z zachwytem. Powoli, nieznanie grunt zaczyna się podnosić i po jakimś czasie pociąg wjeżdża w głąb dziewiczego lasu, lecąc z szybkością błyskawicy nad brzegiem krętego strumienia, tworzącego mnóstwo maleńkich wodospadów, które wśród bujnej różnobarwnej roślinności błyszczą jak roztopione srebro.

U podnóża olbrzymich drzew rosną piękne krzewy *anturium* i *musae*, których szerokie liście muskają w przełocie koła i ściany wagonów, na ziemi zaś rozpościera

się jaskrawy kobierzec *krotonów* i *begonij*. — Z przepysznego tego kobierca piętrzą się po obu stronach, jak wysmukłe kolumny, wspaniałe pnie drzewne, oplecione zwojami różnorodnych pasożytów, *orchidei*, *bromelij* i innych pnących się roślin, zawsze niemal wonnem okrytych kwieciami. U góry tworzą drzewa prawdziwy namiot gęstej zieloności, przepyszne girlandy filodendronów i lian, czepiają się pni lub konarów drzewnych, na ogólnem zaś ciemnem tle zieloności rysują się tu i owdzie złocisto-zielone, wysmukłe sylwetki *palmity*.

Wreszcie po jakimś czasie las zniża się stopniowo, przed okiem zaś podróżnika rozległy i malowniczy rozciąga się widok. W oddali na krańcu widnokregu czernieją góry Serra do Mar, wznoszące się amfiteatralnie jedne po nad drugimi, u podnóża zaś ich leży niezmiernie równina, opasana szeregiem wzgórz, na których również zielenią się lasy.

Pierwszym główniejszym punktem na drodze kolei żelaznej, łączącej Rio-Janeiro z Uberabą, jest bogate i piękne miasto San Paulo, dawna stolica malutkiej Rzeczypospolitej tegoż nazwiska, której obywatele rekrutowali się niegdyś z awanturników rozmaitego rodzaju i przeważnie trudnili się korsarstwem.

Dziś San Paulo należy do najpiękniejszych miast brazylijskich, główną zaś jego chlubę stanowi kilka wspaniałych świątyń, ozdobionych wewnątrz pięknymi, starymi majolikami, z których słynęła niegdyś Hiszpania i Portugalia. Fronton niektórych domów zdobią również majoliki, odznaczające się zbyt wielką jaskrawością kolorów. Zresztą jaskrawe te barwy na tle ciemnej zieleni pobliskich ogrodów, wyglądają nader efektownie i jakieś miłe, wesole wywierają wrażenie.

W San-Paulo od lat kilku utrzymują Salezianie kolegium, otwarte zawsze dla wszystkich kapłanów, przybyłych ze starego świata. Tam więc, missyjonarz, podążający do Uberaby, serdecznego zwykle doznaje przyjęcia, nazajutrz zaś po całodziennym podróży przybywa do Riberao-Preto, niewielkiej stacji kolejowej, gdzie każdy podróżny musi bezwarunkowo przenocować, ponieważ na tej linii kolei żelaznej pociągi nie idą w nocy. Riberao-Preto, podobnie jak i inne stacje, brazylijskie, nie może wcale pochlubić się komfortem. Dworzec kolejowy jest szczupły, brudny i brzydki, obok niego zaś stoi szopa z dachem, ale bez ścian, pod którą leżą cuchnące skóry końskie i wołowe, pęki kukurudzy, liści tytoniowych i suszonego mięsa, pokrajanego w paski, oraz mnóstwo innych artykułów brazylijskiego handlu.

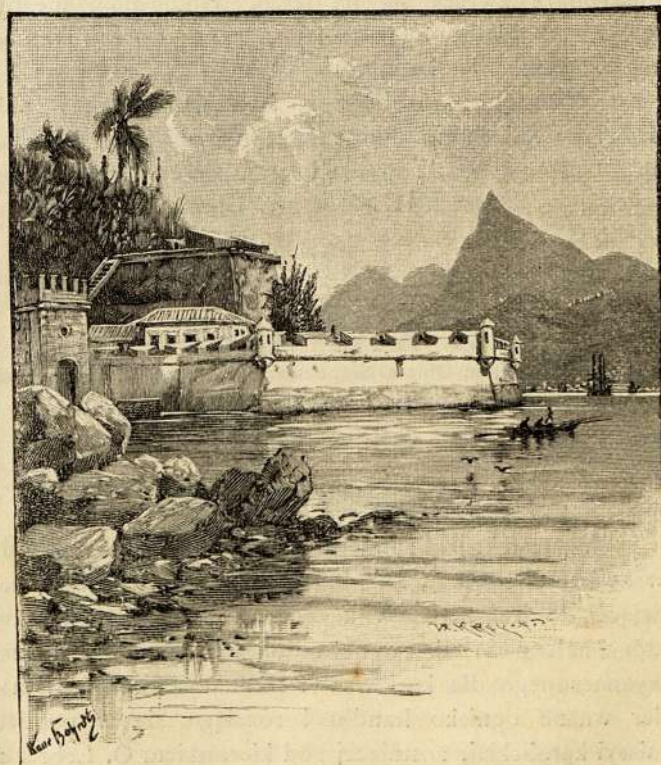
Po noclegu w Riberao-Preto, który pod każdym względem wiele pozostawia do życzenia, biedny podróżny w dalszą musi puścić się drogę, wyczerpującą do reszty jego siły i cierpliwość. Należy bowiem wiedzieć, że brazylijskie wagony stanowią prawdziwą torturę XIX wieku. Ponieważ tor kolejowy jest niezmiernie wązki, wagony więc również muszą być wązkie i dłu-

gie, jak pudełko od cygar. Dodajmy nadto, że są one zwykle okropnie brudne i zakurzone do najwyższego stopnia. Wzdłuż wagonów ciągnie się z jednej strony wązkie przejście, z drugiej zaś szereg prostych, drewnianych ław z żelaznymi poręczami, dającymi przesuwając się do woli z jednej strony ławki na drugą. Jest to tak zwana pierwsza, a zarazem i druga klasa, bo czem jest klasa trzecia, do której wpychają murzynów, tego już nawet opisać niepodobna.

Zbytecznym byłoby mówić, jaką katuszą jest całodzienna podróż w takim pudełku, gdzie z powodu okropnej ciasnoty nie można ani wyciągnąć nóg, ani nawet swobodnie się ruszać. Dobrze jeszcze, że pociąg długo i często zatrzymuje się na stacjach, co pozwala nieszczęśliwemu wędrowcowi wyjść od czasu do czasu z wagonu, ażeby świeżem odetchnąć powietrzem.

Droga ciągnie się po piaszczystych, lub bagnistych równinach, na których tylko tu i owdzie rosną nędzne krzewy, niezgrabne stepowe kaktusy, lub karłowate drzewa *umbu*. Drzewo to jest prawdziwym karłem roślinnego świata, nie wydającym owoców i żadnego nie przynoszącym pożytku, gdyż pień jego miękki i giętki jak gąbka, nawet na opał się nie nadaje. Służy więc ono tylko za schronienie dla szkaradnych południowo-amerykańskich kruków *uruburo*.

Pień tego drzewa dosięga zaledwie sześciu metrów wysokości, ale natomiast nieproporcjonalną odznacza się grubością, gdyż średnica jego do 4 metrów dochodzi. Długie i grube korzenie *umbu* czołgają się dokoła na powierzchni ziemi, tworząc rozpadliny i grotty,



Widok z okolic Rio-Janeiro.

w których można wybornie usiąść jak w szałasie, rozniecić ogień i ugotować sobie obiad. Słowem trudno sobie wyobrazić coś bardziej niekształtnego i śmiesznego w całym królestwie roślinnym, jak to drzewo, wyglądające zdala niby ogromny stóg siana. Jeżeli jednak królestwo flory jest tu tak nędznie reprezentowane, to natomiast na rozległych tych obszarach fauna w całej rozwija się pełni. Mieszkańcami ich są przeważnie bydło i konie, żyjące w stanie nawpół dzikim, nad brzegami zaś strumieni gnieździ się mnóstwo ptaków. Te ostatnie odznaczają się niezwykłą śmiałością tak, że na przykład ogromne kuropatwy zasiadają nieraz u samego toru kolejowego i patrzą spokojnie na przejeżdżający pociąg, nie ruszając się wcale z miejsca.

Lecz oto wreszcie słońce zniża się ku zachodowi i pociąg zatrzymuje się w miejscowości, która podobnie jak cała okolica, przedstawia się na pierwszy rzut oka jako smutna, bezludna pustynia. Tutaj też kończy się linia kolei żelaznej, przzerwana niestety w połowie zamierzonej długości, jak niemal wszystkie koleje w tym kraju.

Kilka nędznych domków, wznoszących się w pobliżu stacy, nie zdaje się wcale zapowiadać istnienia jakiegoś większego ogniska ludności. Przeszedłszy jednak kilkaset metrów, podróżny ku wielkiemu swemu zdumieniu spostrzega nagle śliczne miasteczko z mnóstwem białych domów, oddzielonych jedne od drugich pięknymi ogrodami i ciągnących się amfiteatralnie na pochyłości góry, u podnóża której płynie strumyk. Jestto Uberaba.

Z gościńca wiodącego do miasta, nowo przybyły misjonarz zwraca się na lewo, w kierunku niezbyt wysokiego płaskowzgórza, na szczycie którego wznosi się świątynia. To kościół św. Ryty.

Wreszcie naprzeciw tego kościoła, ale po stronie prawej widać ładny dom, otoczony ogrodem i jaśniejący białością na tle uroczego gaju drzew pomarańczowych i t. p. Jest to klasztor św. Dominika.

(C. d. n.).

Z KANADY.

List O. Langevin'a, Oblata Niepokalanego Poczęcia, Wikaryusza apostolskiego misyj w Archidiecezyi Saint-Boniface.

Fort-Aleksandre, Archidiecezya Saint-Boniface
(Manitoba).

Wypadek, jaki zamierzam opowiedzieć, zdarzył się w kwietniu 1892 r., nad brzegami rzeki Winipeg, wpadającej do jeziora tegoż nazwiska, w ubogim domku, który należy do tak zwanej redukcji, czyli terytorium, wyznaczonego dla krajowców. Redukcja ta stanowi nader ważne ognisko handlu i rozciąga się w pobliżu misyi katolickiej, zostającej pod kierunkiem O. Lebret'a, misjonarza z Kongr. Oblatów N. Maryi P. Niestety

jednak nadano tej miejscowości nazwę Fortu Aleksandra, gdyż nie ma tam żadnej wcale warowni, w niewielkiej tylko odległości znajdują się obszerne i bogate zakłady kompanii hudsonskiej.

Otóż w redukcji powyżej wymienionej pewien piętnastoletni chłopak zachorował na suchoty, pochłaniające corocznie w tej okolicy niemałą liczbę ofiar. Należał on do liczego plemienia Skaczących, które nie zawsze niestety zadawałniało misjonarzy swem względem nich postępowaniem.

Cała rodzina młodzieńca była protestancką. Dziadek jego Kakikepinas, którego imię oznacza «nieśmiertelnego ptaka», piastuje obecnie godność naczelnika całej redukcji. Co do rodziców chłopaka, to wraz ze wszystkimi dziećmi byli ochrzczeni przez pewnego protestanckiego pastora, który dwom ich synom nadał imiona Piotra i Kornela.

Obydwo chłopców wysłano do szkoły przemysłowej w Saint-Paul w pobliżu Winipeg, założonej przez rząd kanadyjski, w której dzieci krajowców oprócz czytania, pisania i rachunków uczą się jeszcze rozmaitych rzemiosł.

Wkrótce po przybyciu do szkoły, starszy z dwóch braci, Piotr, zachorował tak niebezpiecznie, że rodzice musieli zabrać go do domu. Oddawna już ojciec chłopaka, Kinitakijik przechylił się na stronę katolicyzmu, widząc więc, że stan dziecka poważne budzi obawy, wezwał do siebie O. Lebret'a. Biedny chory słuchał uważnie i z radością nauk misjonarza, poczem wygłosił katolickie wyznanie wiary, umierając zaś prosił, aby mu śpiewano pobożne hymny w narodowym jego języku i spokojnie zasnął w Panu. Teraz zapewne czysta jego dusza rozkoszuje się w niebie śpiewem Aniołów i razem z nimi wielbi swego Stwórcę.

W parę miesięcy po zgonie Piotra, brat jego Kornel został dotknięty tą samą chorobą i musiał opuścić protestancką szkołę przemysłową. Natychmiast po przybyciu chorego do rodzicielskiego domu, odwiedził go jeden z naszych misjonarzy i ucieszył się niezmiernie widząc, że młody Indyanin z większą jeszcze, niż brat jego, gorliwością i zapałem zabrał się do nauki katechizmu i modlitw.

Jaśmy wyżej powiedzieli, było to w kwietniu, gdy lód na naszych rzekach i jeziorach zaczyna już pękać, misjonarz zaś chcąc się udać do młodego swego katechumena, musiał przeprować się przez rzekę. Nadto w tej okolicy trudno niekiedy znaleźć krajowca, któryby pożyczyl swojego konia i podróże najczęściej odbywają się na malutkich sankach, ciągnionych przez psy.

W takim właśnie powozie O. Lebret wybrał się znowu w ostatnich dniach kwietnia do swego drogiego chorego. Niestety, gdy przybył, przekonał się, że stan biednego chłopca żadnej niemal nie pozostawia nadziei, i że dni jego życia są już policzone.

Po długiej nauce, której Kornel z wyteżoną słuchał uwagą, misyjonarz zaczął mu wyluszczać główniejsze prawdy świętej naszej wiary, głębokie zaś skupienie ducha, z jakim chory chwycił każde słowo i nadziemską radość, opromieniającą wychudłe jego oblicze, wzruszały do głębi zacnego kapłana. Gdy O. Lebret chciał już pożegnać młodego Indyanina, ten zwrócił się do swego ojca, prosząc, aby się zbliżył do jego łóżka.

— Ojcie — rzekł drżącym od wzruszenia głosem — nie zdołam ci wypowiedzieć, jak się cieszę z tego, com teraz usłyszał. Nigdy jeszcze w szkole nie mówiono nam tak pięknych rzeczy, jakie mi teraz ten kochany misyjonarz wytłumaczył. O, gdybym mógł poznać gruntownie zasady jego religii! Błagam Cię, Ojcie, pozwól mi z nim pojechać i pozostać w jego domu, w takim bowiem tylko razie zdołam wyuczyć się katechizmu. Nie odmawiaj mi tej łaski, drogi, kochany Ojcie!

— Prośba twoja, moje dziecko, jest nader trudną do spełnienia — odrzekł zagadnięty — gdyż jeżeli w takim stanie, w jakim obecnie się znajdujesz, opuścisz naszą chatę, to już do niej nie wrócisz. Jednak niczego nie mogę ci odmówić, jedź więc z Ojcem, jeżeli tego pragniesz.

Nie tak łatwo biedny chory wyjednał sobie pozwolenie matki, która podczas całej rozmowy zalewała się łzami. Co do dziadka Kakikepinesa, to głuchy ten staruszek nie mogąc słyszeć, co mówiono, śledził oczyma rozrzewniającą scenę rozstania.

— O cóż to chodzi? — zapytał swego syna.

Gdy zaś Kinitakijik powtórzył mu głośno treść rozmowy, starzec oświadczył stanowczo.

— Niechże więc jedzie z misyjonarzem, skoro tak gorąco tego sobie życzy. Nie odmawiajcie mu tej przyjemności.

Przygotowanie do podróży nie wiele zabrało czasu i w parę minut malutki tłomoczek Kornela był już gotów, gdyż w chacie poczciwej indyjskiej rodziny od dawna już panował niedostatek. Niebawem posadzono chorego na sianie, ciągnięte przez dwa psy okropnie chude, ale zręczne i zwinne, wkrótce zaś chłopak wraz z ukochanym swym misyjonarzem przybył do stacyi misyjnej.

Było to w sobotę wieczorem dnia 30 kwietnia. Biednego Kornela umieszczono natychmiast po przybyciu w wygodnym i ciepłym pokoiku i prawdziwie macierzyńską otoczono opieką. Bardzo cieszył się chłopak ze swego nowego mieszkania, a zwłaszcza z tego, że mógł rozmawiać dowoli o dobrym Panu Bogu. Rzec można, że biedne to dziecko lasów podług słów Ewangelii »łaknęło i pragnęło sprawiedliwości«.

Kiedy słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi, Kornel zauważył, że pora już odmówić modlitwy wieczornej i dodał, iż lubi niezmiernie modlić się z misyjonarzem.

Nazajutrz rano w niedzielę biedny chory nie mógł pomimo szczerych chęci udać się do kościoła, gdyż z trudnością zdołał wstać z łóżka i przejść się po pokoju. Mimowoli więc zazdrościł szczęśliwszym od siebie chrześcijanom, którzy słuchali w świątyni nauk swego kapłana i gorące do Pana Zastępów zasyłali modły.

Dnia 2 maja O. Lebret spędził kilka godzin u łóżka młodego Indyanina, ucząc go prawd religijnych i malując wymownemi słowy nieopisane szczęście, jakie go w przyszłym oczekiwało życiu. Wreszcie z obawy, aby tak długa rozmowa nie znużyła Kornela, zapytał go, czy nie zechciałby sam pozostać.

— O nie! — odparł żywo chory — zostań ze mną, ja tak lubię słuchać o Panu Bogu i pięknem Jego niebie; wszystko to dla mnie jest jeszcze tak nowe... Zostań ze mną, Ojcie, proszę cię o to.

Wówczas misyjonarz zaproponował mu, aby powtórnie dać się ochrzcić, ponieważ zachodziła wątpliwość co do chrztu, udzielonego mu niegdyś przez protestanckiego pastora.

— I owszem, Ojcie — odparł chory — bardzo chętnie otrzymam z twych rąk Sakrament Chrztu św., ale chcę cię jeszcze prosić o jedną wielką łaskę. Oto pragnąłbym wraz z rodzicami przejść na łono katolickiego Kościoła, gdyż kochając ich z całego serca, chcę, aby i oni także dostąpili tego szczęścia.

Misyjonarz wzruszony do głębi takim objawem miłości synowskiej, oraz przekonany, że biedny chłopak będzie żył przynajmniej przez dni kilka, przychylił się chętnie do jego prośby i chrzest odłożył na później.

Niestety, gorące pragnienie Kornela nie miało się urzeczywistnić, ostatnia bowiem jego godzina wybiła daleko rychlej, niż się spodziewano.

Tegoż samego wieczora po długiej rozmowie chory prosił misyjonarza, aby młodzieniec, który go pielęgnował, pozostał przez noc całą w jego pokoju.

Czyżby to było przecucie? Bóg jeden wie tylko.

Zaniepokojony misyjonarz, nie rozbierając się wcale, udał się na spoczynek i nadśluchiwał pilnie, co się działo w pokoju Kornela. Po jakimś czasie, pomiędzy chorym i jego towarzyszem zawiązała się rozmowa, w której młody Indyanin zadawał rozmaite pytania, dotyczące religii. Około północy Kornel zażądał posiłku, ale za ledwie go skosztował, zbladł i upadł na łóżko, oddychając z trudnością.

— Ojcie! — zawołał infirmier — chodź prędko, chory ma się gorzej!

Natychmiast misyjonarz wbiegł do pokoju umierającego i spojrzawszy na zmienioną jego twarz, poznał, że ostatnia zbliża się chwila. Starał się więc pocieszyć biednego młodzieńca i zaczął mu mówić o Bogu, po kilku zaś chwilach zapytał, czy go rozumie. — Chłopak twierdząco skinął głową, szepcząc z cicha jakąś modlitwę. Biała jego twarz była spokojna, a nawet

niekiedy przebiegał po niej radosny jakiś uśmiech. Nie zwlekając ani chwili dłużej, misyjny ochrzcił chorego, który zatrzymał dawne swe imię Kornela, noszone niegdyś przez setnika, ochrzonego przez św. Piotra. W chwili, gdy woda święcona spłynęła na czoło młodzieńca, zdawało się, że oblicze jego nadziemskim zajaśniało blaskiem. Potem O. Lebret udzielił mu jeszcze Sakramentu Ostatniego Namaszczenia, podczas zaś całego tego obrzędu, młody neofita trzymał ciągle wzrok utkwiony w wizerunku ukrzyżowanego Chrystusa.

O pierwszej godzinie w nocy wysłano z missyi gońca do rodziców Kornela, który niebawem zaczął konać. Atoli konanie jego, było raczej podobne do spokojnego snu, niżeli do walki między życiem a śmiercią. Cały personal misyjny odmówił przy łożu jego różaniec i modlitwy za konających, o drugiej zaś rano drogi nasz neofita pożegnał się z tym światem.

Możnaby rzec, że sama Najświętsza Panna w miesiącu Jej czci poświęconym zabrała do Nieba tę czystą młodocianą duszę, aby złożyć ją u stóp Boskiego swego Syna, wyjednać nawrócenie całego plemienia, z którego zmarły pochodził.

Dopiero w parę godzin po zgonie Kornela przybyli jego rodzice. Nieszczęśliwa matka rozpacziała okropnie, ojciec jednak zniósł ten cios bolesny ze zdumiewającą rezygnacją.

— Bóg dał, Bóg wziął, niech się dzieje święta Jego wola! — rzekł mężnie, jak na chrześcijanina przystało.

Nazajutrz rano odbył się wspaniały pogrzeb młodego neofity.

W kilka tygodni później Kinitakijik z żoną i pozostałymi dziećmi przeszedł uroczyście na łono katolickiego Kościoła. Wbrew ogólnemu oczekiwaniu, stary Kakikapines nie okazał z tego powodu najmniejszego niezadowolenia, owszem z pewnym odcieniem dumy opowiadał innym dzikim o nawróceniu swego syna i wnuków. Sam waha się jeszcze pójść za tym przykładem, mamy jednak nadzieję, że za łaską Bożą zdołamy nawrócić zatwardziałą tę duszę.

— Zdaje mi się — pisał O. Lebret do O. Camper'a, że sama Opatrzność natchnęła Kornela zbawiennem pragnieniem przeniesienia się do missyi, w przeciwnym bowiem razie nie zdołałbym może przybyć w porę, aby mu udzielić ostatnich Sakramentów świętych. — Niech więc będą dzięki miłosiernemu Stwórcy za tak wielką łaskę. Nie wątpię, że wielu europejskich i amerykańskich kapłanów oddałoby chętnie kilka lat swego życia za jedną tak wzniosłą chwilę, jaką było nawrócenie biednego Kornela. Czyż może być bowiem większa rozkosz dla kapłana, jak pozyskanie choćby jednej duszy dla Pana Jezusa?!

W ostatnich czasach pewien wódz indyjski z twierdzy Pellet, prosił X. Arcybiskupa Taché o przysłanie misyjnego, inny zaś wódz doniósł czcigodnemu temu

prałatowi, że pomimo nader ponętnych propozycji ze strony pewnego protestanckiego pastora, zabronił mu stanowczo wstępu na terytorium swojego plemienia.

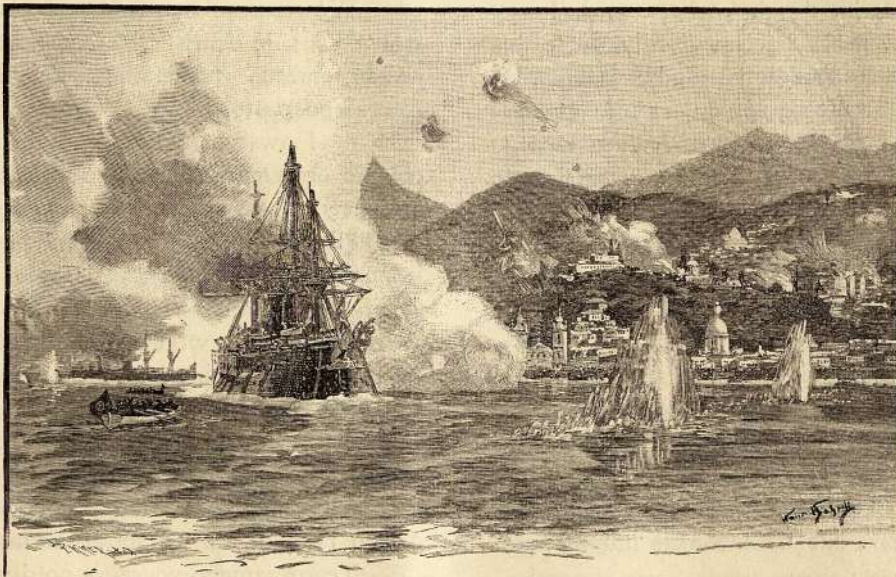
Od kilku lat już zresztą krajowcy coraz częściej zwracają się do X. Arcybiskupa z prośbą o misyjnego, ale pomimo najszczerszych chęci niepodobna było dotychczas

uczynić zadość słusznemu ich żądaniu. Nieraz też poganie zniechęceni daremnem oczekiwaniem, mawiają jedni do drugich:

— Jeżeli misyjnarze nas oszukują, to komuż będziemy ufali?

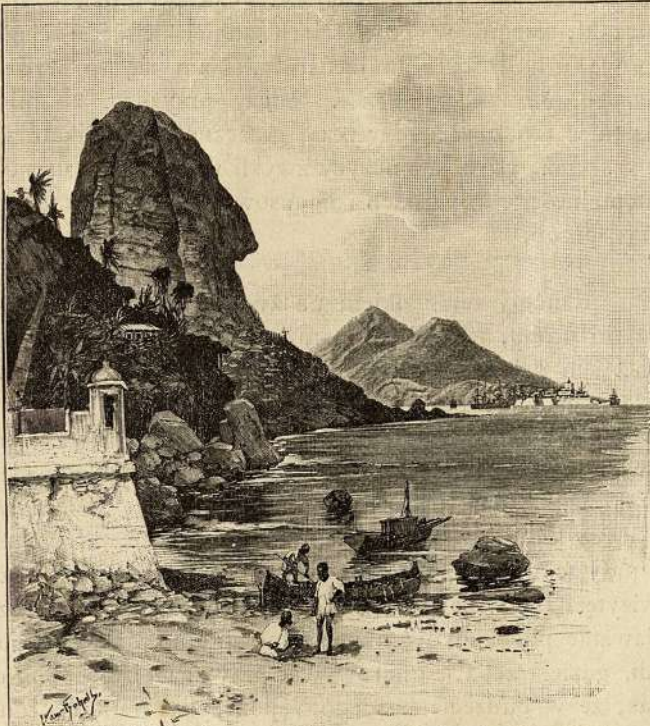
Niestety, w danej chwili nie ma na to rady. *Quem mittam* — kogóż poszlemy, skoro personal nasz jest zbyt szczupły, aby mógł zaspokoić duchowne potrzeby nawróconych już Indyan?

O, gdyby wszyscy ci, którym zbawienie bliźnich leży na sercu, ulitowali się nad biednymi, wydziedziczonymi swymi braćmi! W samej tylko archidiecezyji Saint Boniface mieszka obecnie 6000 pogan i tyluż prawie krajowców protestantów, lecz nie znających żadnych religijnych zasad. Ileż dobrego moglibyśmy zdziałać, gdybyśmy mieli więcej misyjnarzy i nauczycieli, oraz nieco bogatsze materialne zasoby!



Rio-Janeiro podczas bombardowania w r. 1893.

Oby więc ci, którzy jak św. Paweł, kochają Boga i bliźniego więcej niż samych siebie, błagali ustawicznie Stwórcę o większą ilość pracowników, niezbędnych do



Wybrzeża Brazylijskie
w okolicy Rio - Janeiro.

zebrania dojrzałego już plonu. Oby wreszcie syn Kinitakijika, przyjęty już może do niebieskiego Królestwa, wstawił się do Boga za swoimi braćmi, poganami i herezykami.

Sto lat przeszło temu, w r. 1734 pierwszy misjonarz tej krainy, odprawił Mszę świętą w twierdzy Maurepas, zbudowanej przez komendanta de la Verendigie, jednego z przodków teraźniejszego metropolity Kolumbii angielskiej, X. arcybiskupa Taché. Niestety od tej chwili wiara nasza święta mniejsze tu daleko zrobiła postępy, niżby się spodziewać należało. Nie traćmy jednak nadziei, owszem z ufnością w miłosierdzie Boże powtarzajmy piękne słowa Modlitwy Pańskiej: *Przyjdź Królestwo Twoje.*

Z życia rodzinnego Japończyków.

Dzięki uprzejmości misjonarzy europejskich pracujących w Japonii, którzy raz po raz zaszczycają nasze pismo artykułami o tamtejszych stosunkach, czytelnicy *Missyj katolickich* mieli sposobność poznać nieco ten kraj. Jednakowoż pojęcie, jakie dotychczas mieliśmy było raczej tylko powierzchowne, nie mieliśmy bowiem sposobności spotkać się z większą pracą, któraby nam

dozwołała podnieść gęstą zasłonę, zakrywającą życie rodzinne pogańskiego ludu. X. Corre niejednokrotnie w listach swoich do nas pisanych, zapewniał, że stopień inteligencji Japończyków jest wyższym od innych azjatyckich ludów, że chętnie przyjmują cywilizację europejską i rokują wielkie nadzieje dla Kościoła, jeśli tylko nie zabraknie pracowników ewangelicznych na tej bujnej i szerokiej niwie.

Pragnęliśmy o tem wszystkim dokładniej się poinformować, ciekawość nasza wzrastała w miarę nawiązania szerszych stosunków z Europejczykami w Japonii — i oto w tym roku choć w części zaspokojoną została, dzięki Amerykance p. Alicyi Mabel Bacon, autorce *The girls and the womens of Japan* (Londyn 1893) i Lafkadiuszowi Hearn również Amerykaninowi, który w *Atlantic Monthly* bardzo interesujące podał wiadomości o stosunkach rodzinnych Japończyków.

Miss Bacon miała wyjątkową sposobność poznania dokładnie życie japońskie. Jeszcze w Ameryce nawiązała stosunki z wybitniejszymi Japończykami i Japonkami. Za ich pośrednictwem zaproszoną została jako nauczycielka języka angielskiego do szlacheckiego pensjonatu panien japońskich, założonego przez cesarżowę w Tokio, stolicy państwa. Słowom jej podanym w streszczeniu wierzyć możemy i sądzimy, że nie będą bez interesu przyjęte przez naszych czytelników.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że życie rodzinne w wyższych klasach japońskiego społeczeństwa różni się całkowicie od egzystencji warstw niższych. O ile w tych ostatnich wszystkie szczegóły stosunków domowych wystawione są jakby na widok publiczny, o tyle egzystencya klas wyższych zamyka się zupełnie w sobie i w ścisłym, rodzinnym ogranicza się kole. Każdy więc, kto nie zdoła dotrzeć do wnętrza tego zasłoniętego koła, może spędzić w Japonii lata całe, nie powziąwszy dokładnego pojęcia o życiu i charakterze osób ze średnich i wyższych sfer japońskiego społeczeństwa.

Należy oddać sprawiedliwość Japończykom, że z pomiędzy wszystkich narodów wschodnich, oni właśnie okazują niewieście największe zaufanie i szacunek, pozostawiając jej w życiu domowym pewną sferę działania, nieznaną prawie u innych Azyatów. Niewiasta japońska również swobodnie, jak i Europejki, wychodzi z domu, przechadza się po mieście, a nawet na ulicy daleko mniej, niż one, twarz swą zasłania. Jest to jednak jedyna cecha podobieństwa pomiędzy japońskimi a naszymi zwyczajami, wszystkie bowiem inne nasze zasady moralności i przyzwoitości, wydają się Japończykom prawdziwym chaosem, nie budzącym najmniejszej sympatii¹⁾.

Lafkadio Hearn, o którym wyżej mówiliśmy, wspomina, że »nie pojmują oni społeczeństwa, które zajmuje

¹⁾ Por. *Le Correspondant* 10 Avril 1894, p. 3.

się tak bardzo niewiastami; u nich bowiem rodzina opiera się nie na miłości młodego dziewczęcia, zostającego żoną, ale na obowiązkach względem ojca, matki, dziadka i babki.

»Pomimo tego, pamięć niewinnych i cnotliwych niewiast bardzo przez Japończyków jest szanowana. Nawet literatura japońska składa należny hołd kobiecie, opiewając bohaterstwo żon, które obok swych mężów walczyły i umierały, wzorowych matek i posłusznych córek, poświęcających wszystko dla spełnienia obowiązku. Natomiast sentymentalne bohaterki naszych romanów nie istnieją wcale w poezji japońskiej z tej prostej przyczyny, iż Japończycy zupełnie inaczej, niż my, na zadanie niewiasty się zapatrują«.

Łatwo można sobie wyobrazić, jakie wrażenie nasze powieści wywierają na społeczeństwie, w którym matka pieści i całuje swe dziecię dopóty tylko, dopóki nie zacznie ono chodzić, w którym pocałunki i uściski dłoni zupełnie są nieznane, gdyż nawet młode dziewczęta witają się z sobą głębokim ukłonem, najbliżsi zaś krewni i narzeczeni okazują swe uczucia uśmiechem, łzą radości, a co najwięcej lekkim pogłaskaniem dłonią po policzku lub ramionach.

Co do czułych słówek, używanych przez Europejczyków, jako dowody uczucia, to w japońskim języku nie ma ich prawie wcale. Wszelkie zewnętrzne objawy miłości względem żony i dzieci, oraz wtajemniczenie obcych w szczegóły rodzinnego życia, poczytuje każdy Japończyk za oznakę złego wychowania. Nigdy też mąż nie idzie na ulicy obok swojej żony, nie podaje jej ręki, nie pomaga wysiąść z powozu, jedynie dlatego, iż byłoby niewłaściwym okazywać publicznie, że go z tą kobietą małżeński łączy związek. A dlaczego niewłaściwym? Oto, ponieważ poczytywanoby to za objaw osobistego, egoistycznego uczucia. Podług mniemania Japończyków, miłość powinna zawsze i wszędzie słuchać głosu rozumu i obowiązku, wszelka zaś oznaka osobistych uczuć wobec osób obcych, uchodzi za dowód moralnej słabości.

Jakże można wymagać, aby Japończycy, przesiąkli takimi zasadami, mogli zrozumieć nasze życie rodzinne i towarzyskie, a zwłaszcza nasze piśmiennictwo? Wszystkie powieści, malujące europejskie społeczeństwo, wydają się im niemoralne i nieprzyzwoite, ponieważ mówią o miłości egoistycznej młodych dziewcząt. Należy bowiem wiedzieć, że system społeczny, podług którego miłość synowska nie jest wyłączną i jedyną podstawą rodziny, dzieci zaś opuszczają rodziców, aby nowe rodzinne utworzyć ogniska, jest podług Japończyków trybem istnienia, godnym tylko ptaków i dzikich zwierząt. Zbytecznym byłoby mówić, że każdy kto żonę i dzieci kocha więcej niż dawców swego życia, zawierając zaś związek małżeński, słucha wyłącznie głosu własnego

uczucia, bez względu na odrębne zapatrywanie rodziców, uchodzi w Japonii za barbarzyńcę i zbrodniarza.

Oto, dlaczego pewien młody Japończyk zapytał raz swego nanczyciela Anglika: »Chciej mi pan wytłumaczyć, czemu w powieściach angielskich jest ciągle mowa o miłości i małżeństwie. Nam się to wydaje *bardzo, bardzo dziwnem*«. Należy przyznać, że młodzieniec ten użył nadzwyczaj grzecznego i delikatnego wyrażenia, gdyż Japończycy zwykli wyrażać się o sentymentalności europejskich romansów, w daleko dosadniejszy sposób.

Rzucmy teraz okiem na życie Japonki od kolebki aż do grobu, tak jak to nam opisuje Miss Bacon. Chociaż syn daleko bardziej pożądany jest niż córka, dziewczę jednak japońskie w szczęśliwszem znajduje się położeniu niżeli chińskie jej siostrzyczki, i przyjsie na świat nie bywa poczytywane za nieszczęśliwy wypadek w rodzinie. Natychmiast po urodzeniu się dziecięcia, rodzice zawiadamiają o tem najbliższych krewnych i przyjaciół, którzy spieszą złożyć niemowlęciu pierwszą wizytę i pierwsze podarunki. Nigdzie z pewnością rozdawanie podarunków nie jest tak modne, jak w Japonii, gdzie trzeba je ofiarowywać przy każdej sposobności tak, że w budżecie każdego Japończyka stanowią one osobną rubrykę. Do najpospolitszych darów należą tkaniny bawełniane i jedwabne, krepa chińska, zabawki, suszone ryby i jaja przynoszące szczęście.

W przeciągu więc kilku tygodni matka niemowlęcia, zmuszona coraz to nowe przyjmować wizyty, nie ma ani chwili wytchnienia. Siódmego dnia po przyjsiu na świat dziewczęcia, nadaje mu się jako imię nazwę jakiegoś pięknego kwiatu lub owocu¹⁾, poczem malutka ta istotka zostaje wciągnięta na listę obywaterek japońskiej monarchii, cała zaś rodzina przybywa na ucztę, której integralną część stanowi ryż gotowany z czerwoną fasolą. Wreszcie w miesiąc po swem urodzeniu niemowlę, ubrane w jedwabną lub muślinową sukienkę, haftowaną jak najjaskrawszymi kolorami, zostaje zaniezione do sintoickiej świątyni, gdzie ojciec składa ofiary i wybiera dla dziecięcia opiekuńcze bóstwo, mające nad niem czuwać przez całe życie. Potem następuje wysyłanie darów dla wszystkich, którzy czemkolwiek raczyli obdarzyć dziecię i jego matkę, ta zaś teraz dopiero może już odpocząć. Co do dziecięcia, to w rodzinach ubogich noszone bywa ono od drugiego miesiąca swego życia na ramionach matki lub starszej siostrzyczki, liczącej niekiedy zaledwie lat kilka. Zresztą osoba, która dźwiga

¹⁾ Obok nazw kwiatów i owoców napotyka się też w imionach kobiet japońskich nazwy rozmaitych kruszców, tudzież wszelkich drogocennych lub miłych przedmiotów. Jako przykład posłużymy się następującymi imionami: O Hana-Sama-Panna Hana (*hana* znaczy kwiat), O Tama-Sama-Panna Tama (*tama* oznacza kameę), O Kane-Same (*kane* — metal), O Sato-Sama (*sato* — cukier) i t. d.

niemowlę, oddaje się zwykłym swym zajęciom a nawet zabawom, nie troszcząc się wcale o swój ciężar. W taki sposób malutka ta istotka uczy się zawczasu w sposób prawdziwie pierwotny zachowywać równowagę, a zarazem przyzwyczajają się stopniowo do rezygnacji i wystarczania samej sobie. Skoro tylko może utrzymać się na nóżkach, wówczas matka uczy ją siadać na ziemi, zginając jak najbardziej kolana. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nierozsądny ten zwyczaj powstrzymuje rozwój członków i jemu to właśnie przypisać należy niski wzrost wszystkich niemal Japonek. Jedynie tylko rozpowszechnienie krzesła, dotychczas bardzo mało w Japonii używanych, mogłoby, jak mówią lekarze, wykorzenić zgubny ten zwyczaj. Zresztą w zamężnych rodzinach noszą dzieci na ręku, podobnie jak w Europie.

Zaledwie dziewczynka nauczy się chodzić w niezbyt wygodnych drewnianych sandałach, natychmiast rozpoczyna się jej wychowanie, oparte na zupełnym zaparciu się siebie i ślepej uległości względem płci silniejszej. Głównymi przymiotami, wymaganiami od dziewczęcia, są: ochoce posłuszeństwo, wyrafinowana uprzejmość, jak również czystość, elegancja i porządek. Im bardziej młoda Japonka potrafi wyrzec się własnej woli i upodobań, tem więcej będzie szanowaną i szczęśliwą. Zresztą cały zakres jej obowiązków zamyka się w obrębie domu, albo niewielkiej fermy, jeżeli jest wieśniaczką. Nie ma dla niej żadnych zawodów, wyłącznych zatrudnień, lub powołań do jakiegokolwiek stanowiska w społeczeństwie, na któreby samodzielnie miała prawo pracować. Musi więc ulegać bezwarunkowo woli ojca, brata, męża lub syna i szukać szczęścia nie w rozwoju intelektualnych swych zdolności, ale w jak największym panowaniu nad sobą. Od lat najmłodszych mała Japonka uczy się unikać wszelkich objawów wzruszenia, ukrywać boleść, gniew i niepokój, uśmiechać się zawsze i wszędzie, wówczas nawet, gdy serce jej rozdziera rozpacz, słowem wyrabia się stopniowo na kobietę niezmiernie grzeczną, uprzejmą, lecz zamkniętą w sobie. Taki tryb życia zacieśnia widnokrąg jej pojęć, krępuje polot wyobraźni i w przeciągu lat kilku czyni z niej istotę przygnębioną, zniechęconą i znużoną moralnie, o nieśmiałości, zawsze smętnem spojrzeniu.

Wogóle dzieci japońskie zdają się być wytworem cywilizacji daleko więcej wyrafinowanej od naszej i odziedziczają po przodkach wrodzone zamiłowanie grzeczności, uprzejmości, oraz dystynkcji, które przechodząc z pokolenia na pokolenie, coraz bardziej się potęguje. Rzadko też można u nich dostrzedz niegrzeczność, rubasność lub swawolę cechującą działość europejską. Wielce ciekawy i zajmujący, zwłaszcza dla cudzoziemców, jest widok japońskich dzieci, witających się nawzajem poważnym ukłonem i przestrzegających jak najściślej przepisów etykiety.

We wszystkich sprawach rodzinnych główną rolę odgrywają dziadkowie i babki, potem rodzice, a wreszcie dzieci podług starszeństwa. Zwykle ojcowie i bracia kochają bardzo małe dziewczynki, zadawalniają wszelkie pragnienia, ale nigdy nie pieszczą. Starsza siostra nosi tytuł *O-jo-sama*, czyli panienki, tak ją bowiem zwykli nazywać służący, rodzeństwo zaś oznacza ją nazwą *Ane-san* to jest starszej siostry. Natomiast siostra młodsza zwana jest *O-san*¹⁾. Dodać też należy, że litera *O* stanowi u Japończyków pewną oznakę szacunku.

W miarę swego wzrastania dziewczę staje się przedmiotem coraz większej troskliwości, która polega głównie na zaprawianiu do obowiązków oczekujących je w dalszym życiu, jako żonę, matkę i panią domu. Nietylko też młoda Japonka kształci się umysłowo, ale także coraz większy w gospodarstwie domowym zaczyna brać udział. Ona to w średnich warstwach japońskiego społeczeństwa, przyrządza herbatę dla gości i sama ją podaje, jeżeli zaś pan domu chce okazać gościowi szczególną uprzejmość, to zasiada z nim do stołu, żona zaś i córki obu im usługują.

W nieobecności rodziców najstarsza córka przyjmuje wizyty, opiekuje się młodszym rodzeństwem i trudni się nieco gospodarstwem domowym, a zwłaszcza sprzątaniami całego mieszkania, co zresztą z powodu braku mebli, kobierców i zwierciadeł niezbyt trudną jest rzeczą. Niekiedy nawet młoda Japonka zaczyna uczyć się zawczasu narodowej kulinarnej sztuki, a gdy już wszystko w domu w należytych znajduje się porządku, wówczas zabiera się do szycia, czytania lub pisania.

Obok tak licznych zajęć, dziewczę ma również swoje przyjemności. Na nowy rok naprzykład rozpoczynają się wesołe zabawy, trwające w przeciągu całego miesiąca, i w których nietylko młodzież, ale także i starsi żywy biorą udział. Z wiosną również rozpoczyna się cały szereg pięknych i poetycznych uroczystości, w których kwiaty główną odgrywają rolę, a całe rodziny przepędzają uroczne chwile w wonnych, zielonych ogrodach, gdzie kosańce (*iris*), azalee, chryzantemy i mnóstwo innych kwiatów bawi wzrok różnorodnymi, jaskrawymi barwami.

Wreszcie następuje najwspanialsza i najbardziej ożywiona zabawa — karnawał marynetek. Na trzeci dzień trzeciego miesiąca rozpoczyna się prawdziwy pochód z lalkami, przechowywanymi w niektórych rodzinach od lat kilkudziesięciu, a nawet kilkuset. Potem na niskich stołach, mających od 20 do 30 stóp długości i pokrytych czerwoną tkaniną, Japończycy ustawiają

¹⁾ Japończycy zwracając się do kogoś wyższego stanowiskiem od siebie, używają przez grzeczność partykuły *O*, oznaczającej czcigodny. *O-joi-sama* oznacza więc dosłownie czcigodna piękna pani lub panno. W poufalej rozmowie wyraz *sama* skraca się na *san*.

mnóstwo laleczek, na czele których stoją mali cesarze i cesarzowe z najrozmaitszych epok, otoczone licznym dworem i orkiestrą. Najciekawsze atoli są malutkie mebelki i naczynia domowe, wyrzeźbione prześlicznie z drzewa, laki, srebra, a nawet złota, słowem prawdziwe klejnociki. Patrząc na nie, można z łatwością studyować dzieje cywilizacji japońskiej naturalnie w miniaturze. Nie braknie tam również eleganckich serwisów stołowych, półmisków, filiżanek i kubków do narodowego trunku *sake*, każde zaś naczynie zawiera jakąś potrawę umyślnie na ten cel przeznaczoną. Dalej nieco mieszczą się palankiny, wozy ciągnięte niby przez czarne woły, malutkie piecyki zwane *hibaszi* ze srebra lub miedzi, wiaderka i szczypce do węgla, obok zaś nich widać wszystkie przybory toaletowe, to jest grzebień, lusterka i najrozmaitsze przyrządy służące do czernienia zębów, golenia brwi, oraz malowania ust i twarzy.

Łatwo wyobrazić radość dziewcząt, które w przeciągu trzech dni usługują malutkiej parze cesarskiej i przyrządzają dla niej obiady.

W najuboższych nawet domach przechowuje się starannie taka kolekcja maryonetek i ulubiona narodowa uroczystość okazale bywa obchodzona. Nie wszystkie jednak lalki zostają zamknięte w wyłącznie na ten cel przeznaczonym pokoju, owszem mała Japonka może od czasu do czasu wybierać z nich niektóre, aby się trochę pobawić, chociaż zresztą nie braknie jej nigdy rozmaitych zabawek, będących głównym artykułem japońskiego przemysłu. Również urozmaicone, jak w Europie, są tam gry dla młodzieży, dziewczęta zaś bawią się w piłkę, lub wolanta.

Wieczorem, gdy cała rodzina zasiądzie dokoła ulubionego kominka, zwanego *hibaszi*, jeden z jej członków zaczyna opowiadać baśnie o czarownicach i zaklętych księżniczkach, dziatwa zaś przysłuchuje się ciekawie tym opowiadaniom, przenosząc ją w czarowną krainę wyobraźni.

Nieraz też Japonki spędzają po kilka godzin w teatrze, śledząc z zajęciem przebieg historycznych dramatów, w których główną rolę odgrywają dawne bohaterki,

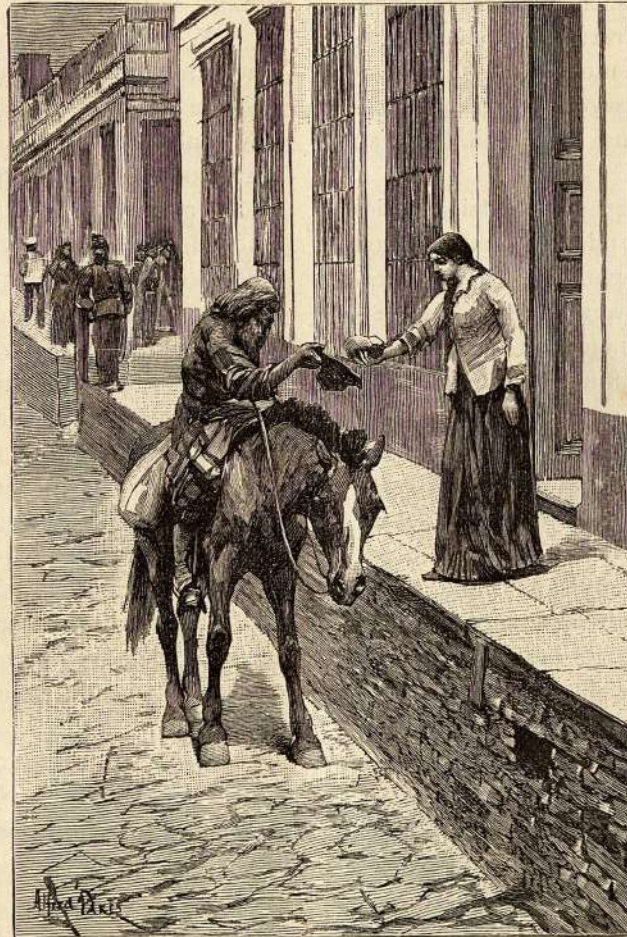
poświęcające ochoczo życie w obronie ojców, mężów i braci. Uczęszczanie do teatru jest rzeczą nie małej wagi, gdyż spędza się w nim zwykle większą część dnia. Kupiwszy bilet w sklepiku, w którym sprzedaje się herbata, Japonki zostawiają tam płaszcze i podążają na przedstawienie w towarzystwie jednego ze służących, który podczas antraktów przynosi jej łakocie i ani na chwilę nie odstępuje.

Niekiedy również panie i panny zwiedzają sklepy lub bazy, w których każdy, choćby najmniejszy gracyk, świadczy o wrodzonym artystycznym smaku. Do ulubionych rozrywek należą także wycieczki w powozie *dzinri-kisza* bądź po za miasto, słynące z malowniczych okolic, bądź też do jakiej świątyni, znanej z piękności swych rzeźb i ogrodów. Młoda bowiem Japonka chodzi i jeździ wszędzie, widzi wszystko i używa w ojczyźnie swej wszystkiego, co mogłoby uprzyjemnić jej życie, nie wykraczając przeciw zasadom skromności i przyzwoitości.

Jakąż rolę w domowym wychowaniu, o którym dotąd była mowa, odgrywa nauka? Pod tym względem Japonia znajduje się obecnie w okresie przejściowym, połączonym z licznymi trudnościami, a nawet niebezpieczeństwami. Należy jednak przyznać, że chociaż w ostatnich dopiero czasach powstały żeńskie naukowe zakłady, oddawna atoli kobiety dość starannie były kształcone. Obok literatury klasycznej, początków matematyki, oraz pisma zwyczajnego i ideo-

graficznego¹⁾, nie należącego wcale do rzeczy łatwych, uczono je również muzyki, nader skomplikowanych formuł etykiety, hodowli, układania i malowania kwiatów, a wreszcie przyrządzania herbaty i podawania jej gościom.

¹⁾ Oprócz ideograficznego pisma chińskiego, Japończycy używają jeszcze dwóch rodzajów pisma: *hira-kana* i *kata-kana*. Pierwsze z nich zaczerpnięte z chińskiego pisma *tsao-szu* w powszechnym jest użyciu, drugie zaś wyszło już z mody i używa się tylko w słownikach lub filologicznych traktatach. Alfabet japoński jest zgłoskowy i składa się z 47 znaków, trzem pierwszym zaś z nich zawdzięcza swą nazwę *iroha*. Starożytne religijne księgi sintoistyczne Koziki i Jamato-Bumi, skreślone są w alfabecie Kanna czyli Sin-zi, zaczerpniętym z pisma korejskiego. (Leon de Rosny: *Kami-jo-no-maki*, 1887 p. LXII i LXIII).



Ameryka Południowa. — Żebrak na koniu w Buenos Ayres; podług rysunku misjonarza.

W wyższych warstwach japońskiej ludności taniec od niepamiętnych czasów wyszedł już z mody, atoli dziewczęta ze średniej pochodzące klasy, jak naprzykład córki kupców i przemysłowców uczą się go niekiedy, aby się nim popisywać wobec rodziców, krewnych i znajomych, lub podczas religijnych uroczystości. Wprawdzie zabawa ta jest zupełnie przyzwoita i niewinna, ale ponieważ odbywa się mniej lub więcej publicznie, chociaż w dość ciasnym i dobranym kółku, młodzież więc należąca do arystokracji, nie ma prawa brać w niej udziału.

Muzyka stanowi w Japonii wyłączny przywilej kobiet, starców i ciemnych. Co do układania kwiatów, to dokonywa się ono podług stałych przepisów, nie chodzi tu bowiem tylko tak, jak u nas o gustowne ułożenie bukietu, ale o to, aby każda łodyga, gałązka lub ździebełko trawy wyglądało tak, jak gdyby w sposób naturalny rośło w tem naczyniu, do którego na dni kilka włożone zostało. Dodajmy nadto niezliczone kombinacje kwiatów harmonizujących ze sobą i odwrotnie, a nie będziemy się dziwili, że doniczka z tak umiejętnie uporządkowanymi kwiatami, stanowi główną ozdobę *Tokonomo* czyli framugi w bawialnym pokoju. We framudze tej również wisi zwykle *Kakemono*, to jest długa wstęga z papieru, ozdobiona rysunkiem lub chińskim napisem, wyrażającym jakąś sentencję moralną.

Również skomplikowaną rzeczą jest częstowanie gości herbatą, którą się przyrządza, podaje a nawet pije podług pewnych stałych wymagań etykiety. Ogrzewszy wodę na odrębnym gatunku węgla, Japonka wlewa ją do kubka, zawierającego trochę sproszkowanej zielonej herbaty i miesza cieniutkim bambusowym pręcikiem, poczem podaje ulubiony ten napój gościowi w osobnym, wyłącznie na ten cel przeznaczonym pokoju. Ceremonia taka, której towarzyszy odpowiednia gestykulacja zarówno ze strony pani domu jak i gości, powtarza się kolejno względem każdego z osobna.

Wszystkich wogóle przepisów etykiety uczą się dziewczęta od starszych kobiet, pochodzących z arystokratycznych, ale zubożałych rodzin, co nader jaskrawe rzuca światło na rozmaite komplikacje japońskiego życia. W stosunkach towarzyskich nic nie może być dziełem przypadku, owszem każda najdrobniejsza nawet czynność, jak naprzykład powitanie, trzymanie ramion i głowy, otwieranie i zamykanie drzwi, stawanie i siadanie na podłodze, słowem każdy ruch niemal wykonywa się podług pewnego systemu, wykładanego dziewczętom z niezwykłą starannością i skrupulatnością.

Nigdy też dzięki temu, dziewczęta japońskie nie okazuje w towarzystwie zmięszania, niepewności lub bojaźni, co nader ważną stanowi zaletę. Nieraz się nawet zdarza, że cudzoziemki, spędziwszy dłuższy przeciąg czasu wśród japońskiego otoczenia, znajdują później sposób zachowania się swych rodaczek szorstkim, brutalnym i nieokrzesanym.

Bądź co bądź współczesne młode pokolenie stara się już oswobodzić z niemiłego jarzma konwenansu, najnowszy zaś system, przyjęty w szkołach i pensjonatach całego cesarstwa, bardzo do tego się przyczynia, narażając atoli swych adeptów na wiele niebezpieczeństw i przykrości, gdyż jak zwykle pionierowie nowego prądu nie mało będą mieli do zniesienia.

Stara metoda wychowania, odosobniająca dziewczęta japońskie od reszty cywilizowanego świata, oddawna już się przeżyła. Dziś każdego rana ulice miast i wiosek, roją się wesołym tłumem młodzieży, spieszącej z książkami i śniadaniem w rękę do szkół wyższych, normalnych, elementarnych, lub froeblovskich ogrodów.

We współczesnym wychowawczym systemie znalazły dla siebie miejsce wszystkie niemal gałęzie wiedzy, którą dziewczęta z niezwykłym pochłaniają zapałem. Szkoda tylko, że japońscy pedagogowie wpadli z jednej ostateczności w drugą, jeżeli bowiem dawniej za mało wymagali od młodzieży, to dziś zanadto wygórowane stawiają jej żądania. We wszystkich wyższych i średnich szkołach z dawnym wykładem japońskiej i chińskiej literatury, połączono przedmioty wykładowe na Zachodzie, a mianowicie: matematykę, geografję, historję, nauki przyrodnicze i parę obcych języków, naturalnym zaś tego wynikiem jest okropne przeciążenie umysłowe.

Z drugiej strony nader doniosłe niebezpieczeństwo zagraża zdrowiu młodzieży. Wprowadzenie stołów i krzeseł, chociaż poniekąd niezbędne, zmieniło nagle wszystkie dotychczasowe jej nawyki pod względem trzymania ciała, co na cały organizm ujemny wpływ wywiera. Nadto klasy, podobnie jak u nas, ogrzewają się za pomocą kaloryferów, dziewczęta zaś przyzwyczajone do nieogrzewanych mieszkań i odpowiednio ubrane, wychodząc z ciepłej szkoły na świeże powietrze, nabawiają się z łatwością chorób piersiowych, dotychczas zupełnie tam nieznanych. Zresztą rodzina japońska nie pojmuje jeszcze potrzeby wyznaczania stałych godzin na sen i posiłek, a zarazem podnieca zanadto pilność i gorliwość dziewczęcia, grożąc, że niezwłocznie wyda je za mąż, jeżeli w szkole nie zdobędzie sobie opinii wzorowej uczennicy. Ponieważ zaś młoda Japonka lubi szkolną swobodę, towarzystwo koleżanek, a wreszcie i samą naukę, częstokroć więc pracuje po nad siły, aby ten najszcześniejszy okres swego życia jak najbardziej przedłużyć.

W niedalekiej przyszłości wszystkie te niebezpieczeństwa dadzą się stopniowo usunąć, jeżeli tylko Japonia zabierze się do tego z należyłą przezornością i rozważą. Natomiast daleko trudniej będzie pogodzić dwie wręcz odrębne cywilizacje, będące wynikiem odwiecznej pracy intelektualnej, moralnej, a nawet religijnej. Wielka też byłaby szkoda, gdyby Japończycy zechcieli zaniechać studyów nad własną historją i piśmiennictwem, któremu nawet towarzyskie ich stosunki zawdzięczają tyle

wdzięku, delikatności i dystynkcyi. Z drugiej jednak strony powinni oni starać się też gorliwie o rozszerzenie zakresu swej wiedzy, podniesienie moralności, oraz doskonalszy rozwój wszelkich władz duchowych, w tym zaś postępie niewiasta musi również czynny wziąć udział. Nie obejdzie się wprawdzie bez wielu przykrych doświadczeń i błąkania się po omacku, współczesne zaś młode pokolenie najbardziej na tem ucierpi. Dziś już dziewczę kształcające się w szkole lub pensyonacie, nie jest tak dobrze, jak dawniej, przygotowane do spełniania obowiązków mężatki, to jest do poświęcenia na rozkaz męża lub ojca najszlachetniejszych pragnień, oraz zupełnego zaparcia się siebie w tak szerokim tego słowa znaczeniu, o jakim inne ucywilizowane rasy nie mają nawet pojęcia. (C. d. n.).

Missya w cieśninie Torresa.

(Wikaryat apostolski Nowej Gwinei).

Następujący list O. Hartzera, missyjonarza z Issodunu, podaje ciekawe szczegóły o missyi, o której dotąd nie donosiliśmy prawie nigdy naszym czytelnikom. Chodzi tu o wyspę w cieśninie Torresa, o mały lecz piękny archipelag, leżący pomiędzy Nową Gwineą i wielkim lądem australskim, gdzie Ojcowie z Issodun utworzyli już wiele zakładów, dziś w kwitnącym znajdujących się stanie. Co do wikaryatu apostolskiego Nowej Gwinei, którego missya na wyspach Torresa malutką zaledwie jest częścią, to czytelnicy nasi wiedzą dobrze, jak wielkie pod kierunkiem X. arcybiskupa Navarre zrobił on postępy. Około 1000 neofitów, nawróconych na wiarę świętą, jak również liczne stacje missyjne i kilkadziesiąt kościołów lub kaplic, świadczą tam o gorliwości czcigodnego X. Arcybiskupa Cyru i zacnych jego współpracowników.

Jedną z najmniej znanych, chociaż nie najmniej ciekawych części wikaryatu apostolskiego Nowej Gwinei angielskiej, jest archipelag w cieśninie Torresa. Leży on pod 10° południowej szerokości na północ od Kwinslandu (Queensland) i stanowi naturalną spójnię pomiędzy Australią a Nową Gwineą.

Cieśnina Torresa, bardzo wąska w niektórych miejscach i obfitująca w wysepki, skały lub piaszczyste ławice, łączy ocean Indyjski z oceanem Spokojnym i jest bardzo niebezpieczną dla żeglugi, każdego bowiem roku pewna ilość statków ulega tam rozbiciu ku wielkiemu niezadowolaniu towarzystw ubezpieczeń. Nie przeszkadza to jednak wcale, że roi się w niej zawsze mnóstwo okrętów rozmaitego kształtu, wielkości i rodzaju.

Ponieważ Torres-Strait jest na północy kluczem do Australii, dlatego Anglicy, jako ludzie bardzo przeznorni i praktyczni, założyli w najlepszym miejscu port

i skład węgla, zabezpieczony zewsząd fortiecznymi murami. Na wyspie Thursday, oprócz portu, do którego zawijają wszystkie okręta żeglujące po cieśninie, znajduje się rezydencya gubernatora wraz z nader liczną załogą.

Z geograficznego punktu widzenia, wyspy te ciągną się od odnogi Karpentary, aż do morza Koralewego, pomiędzy Nową Gwineą a Kwinslandem, na południe zaś łączą się z długim łańcuchem skał, równoległych do australskiego wybrzeża, a znanych pod nazwą Grande-Barrière.

Nader ciekawy przedmiot studyów stanowi fauna i flora tych wysp, mająca pewne podobieństwo do świata zwierzęcego i roślinnego w Australii lub Nowej Gwinei, ale nie pozbawiona zarazem wielu cech całkowicie odrębnych. W ogromnych dziewiczych lasach świergocą miliony najrozmaitszego ptactwa, w cieśninie zaś i na dnie bystrych rzek błyszczą pod wodą najśliczniejsze korale i muszle perłowe, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Z etnograficznego punktu widzenia, pierwotne tubylcze rasy znikły już całkowicie, miejsce zaś ich zajęła stopniowo ludność nowożytna, złożona z najrozmaitszych żywiołów.

Dzieje odkrycia cieśniny Torresa są nader ciemne i zawiłane. W r. 1606 przepłynął tamtędy przypadkiem na statku »Almiranda« niezbyt sławny zresztą żeglarz Torres i przypadkiem również cieśnina ta otrzymała jego imię, jedynie dzięki Anglikom, którzy zbombardowali miasto Manillę w r. 1762, znaleźli w miejscowych archiwach, wśród wielu innych dokumentów, odpis listu Torresa do króla hiszpańskiego, zawierający dość dokładny opis tej cieśniny. Niebawem list powyższy ogłoszono drukiem i w taki sposób nazwisko Torresa przeszło do potomności.

Luiz de Vaez de Torres był towarzyszem Quirosa czyli Quira, przezwanego australskim Krzysztofem Kolumbem. W grudniu 1605 r. odpłynęli oni razem z Callao, ale w drodze zdarzyło im się to, co i dziś bardzo często się zdarza: oto poróżnili się ze sobą i musieli się rozłączyć. Quiros wrócił do Meksyku i umarł w Panamie, Torres zaś podążył na zachód i nadał swe imię cieśninie, którą przepłynął za powrotem na wyspy Filipińskie.

Wątpliwą atoli jest rzeczą, czy Torres pierwszy odkrył tę cieśninę. Holendrzy utrzymują, że zaszczyt ten im przypadł w udziale, gdyż w r. 1605 statek holenderski »Duyfhen«, wysłany przez gubernatora Batawii, w celu zbadania południowego wybrzeża Gwinei, przepłynął pierwszy przez cieśninę, wprzód jeszcze nim Torres dowiedział się o jej istnieniu. Ze swej strony Francuzi twierdzą również, że w r. 1503 niejaki Gonneville, mając zamiar odbyć podróż na około świata, odpłynął z Harfleur i przemknawszy się szczęśliwie koło przylądka Dobrej Nadziei, został później wyrzucony

przez burzę na brzeg jakiegoś nieznanego lądu, którym prawdopodobnie była Australia. Za powrotem do Francji, przywiózł on ze sobą kilku krajowców z tajemniczej tej ziemi, wnuk zaś jednego z nich został potem kapłanem i wydał w r. 1663 memoriał o założeniu missyi chrześcijańskiej na australijskim terytorium.

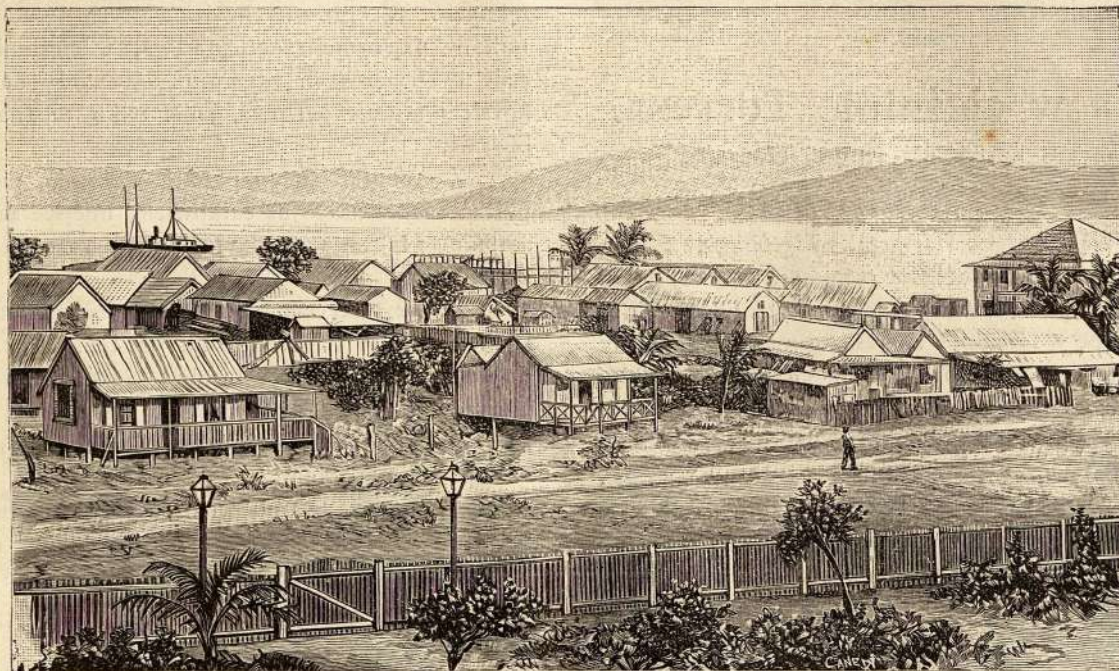
Bądź co bądź, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Portugalczycy jeszcze na początku XVI wieku pierwsi odkryli tę cieśninę, gdyż nawet mapy, wydane kilka lat później w Anglii i we Francji, zdają się być po prostu skopiowane z dawnych map hiszpańskich i portugalskich.

Wiadomo powszechnie, jak Portugalczycy i Hisz-

panie byli z początku zazdrośni o swoje odkrycia, karząc nawet śmiercią każdego żeglarza, któryby bez pozwolenia władz rządowych wydał mapę lub opis odkrytych przez siebie lądów. Łatwo więc zrozumieć, że pierwsze mapy musiały być rzadkie, i że nieliczne kopie, jakie dotychczas pozostały, posiadają tem większą wartość i powagę.

Dość już jednak tej nudnej erudycji. Wystarczy, gdy powiemy, że dziś niezliczone statki prują błękitną powierzchnię cieśniny Torresa, stanowiącą jedno z główniejszych ognisk komunikacji pomiędzy Anglią, Japonią i Australią.

Na wyspie Thursday, podobnie jak we wszystkich



Oceania. — Port Kennedy, stolica wyspy Thursday; podług fotografii.

niemal zakątkach kuli ziemskiej, wiara święta ma gorliwych swoich apostołów, a nawet katolicycy misjonarze wyprzedzili tu o lat kilka przybycie pastorów anglikańskiego kościoła.

Thursday, w hrabstwie Somerset, jest to górzysta wysepka, mająca dwie mile długości a półtorej szerokości, nie małą zaś wagę w oczach żeglarzy nadaje jej przystań, zabezpieczona od najgwałtowniejszych nawet burz morskich, za pośrednictwem przeciwległych wysp, Księcia Walii i Horn.

Stolica tej wyspy, Port Kennedy, jest ogniskiem nader ożywionego handlu, którego główny artykuł stanowią australijskie płody.

Chociaż przeciętna temperatura w lecie, to jest od grudnia do marca wynosi około 40° Cels., pomimo tego jednak wyspa ta słynie ze zdrowego klimatu i nosi na-

zwę kwinslandzkiego sanatorium, czyli stacyi klimatycznej.

Przez resztę całego roku łagodny wietrzyk wschodni utrzymuje w Thursday umiarkowaną temperaturę, niebo zaś zawsze czyste i lazurowe morze, najeżone białą pianą, przypominają cudzoziemcom piękne włoskie brzegi.

W r. 1890 wyspa Thursday liczyła zaledwie 520 mieszkańców, dziś zaś ma ich już 2000, z których 800 mieszka w Port Kennedy. Od strony morza i przystani miasteczko to, złożone z niewielkich białych domków, opasanych werandami, nader malowniczo przedstawia widok. Na skałach, pokrytych prawdziwym kobiercem lian, błyszczą brązowe działa, w cieniu zaś wyniosłych zawsze zielonych eucalyptusów, kryją się wały forteczne, wojskowe drogi i koszary. Po obu stronach równych i szerokich ulic ciągną się drewniane domy, noszące

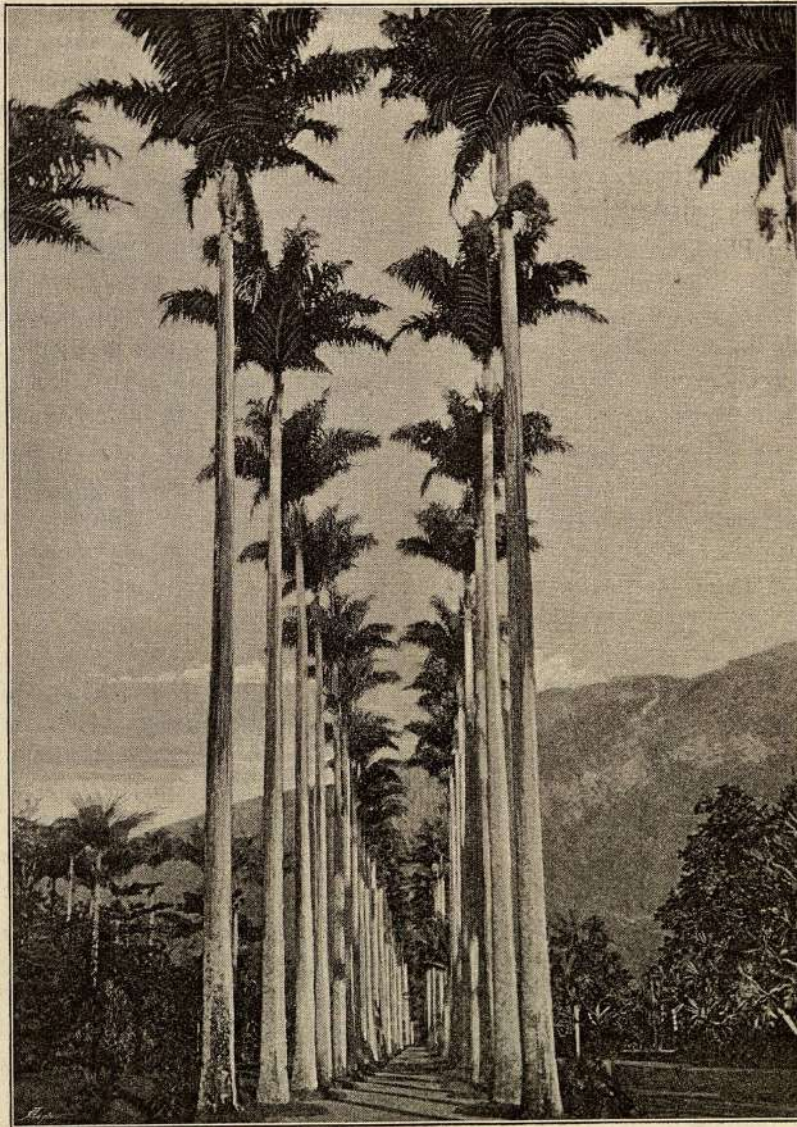
pewną cechę zamożności i komfortu. Obficie zaopatrzone sklepy dostarczają po cenach umiarkowanych wszystkich angielskich i amerykańskich towarów. Dzielnica europejska posiada kilka pierwszorzędných hoteli, utrzymywanych z takim przepychem, jakiego na odległych tych wyspach niepodobnaby się spodziewać. Nadto na każdym niemal kroku widać restauracye, mogące zadowolnić wymagania przedstawicieli wszystkich narodowości. Nie braknie też telegrafu, przynoszącego wieści ze świata, słowem wyspa ta nie potrzebuje zaźdrościć niczego najbardziej ucywilizowanym krainom, gdyż nawet tutaj, podobnie jak w Anglii, wyborom zwykle towarzyszą bójki, w Radzie zaś miejskiej wieczna panuje niezgoda.

Na zakończenie wymienić jeszcze musimy bibliotekę publiczną, złożoną z kilku tysięcy dzieł; muzeum będące jeszcze w kolebce, dwa kościoły, dwie szkoły i tyleż banków, rezydencyę gubernatora, trybunał cywilny, więzienie, a wreszcie niezliczoną ilość bilardów.

Cóż mam powiedzieć o ludności? Zdaje mi się, że w żadnym zakątku kuli ziemskiej nie ma takiej, jak tutaj mieszaniny najrozmaitszych ras i wyznań. —

Obok Europejczyków, których ilość zaledwie do 600 dochodzi, widać tu kupców chińskich, odgrywających na Wschodzie taką samą rolę, jak Żydzi na Zachodzie i pokrewnych im Japończyków, którzy się trudnią przeważnie sprzedażą tkanin jedwabnych i eleganckich gracików z laki. Nie braknie też Malajczyków, Hindusów z Bombaju i Kalkuty, Jawajczyków i Syngalezów o długich czarnych włosach, którzy sprzedają muszle perłowe i rozmaite klejnoty, albo też służą u europejskich rodzin. Wreszcie na statkach, trudniących się połowem pereł i żółwi, spotkać

można murzynów z Zanzubaru, Mozambiku, wyspy Bourbon, Stanów Zjednoczonych i Brazylii, Kreolów z wyspy Św. Maurycego, Chilijczyków, Peruwianów i poczciwych katolików z Manilli, ożenionych bądź z sierotami chrześcijańskimi z Hong-Kong, bądź też z Portugalkami z Goi.



Ameryka Południowa. — Alea palmowa w ogrodzie botanicznym Rio-Janeiro; podług fotografii przysłanej przez hr. Witolda Skórzewskiego.

Manilczycy są to ukochani nasi wierni, oni to bowiem tworzą główną podstawę misyi i całą duszą przywiązują się do missyjonarzy, wiedząc dobrze, że znajdą w nich zawsze opiekunów, przyjaciół i doradców, którzy nie zawiodą nigdy ich zaufania.

Oto, jak się przedstawia teraźniejsza ludność Thursdayu, która pomimo tak różnorodnych pierwiastków, żyje spokojnie pod ojcowskim okiem władz rządowych i dwa razy tylko w ciągu roku, to jest podczas wyścigów oraz świąt Bożego Narodzenia, dopuszcza się niekiedy hałaśliwych scen lub bójek. — Reszta czasu upływa każdemu wśród rozmaitych interesów, które wcale nie źle tu się wiodą.

Corocznie do Port Kennedy zawija 250 statków, zajętych połowem pereł, oraz tyleż prawie okrętów handlowych. Przywóz wynosi zwykle kwotę 1,250.000

franków, wywóz zaś dochodzi do poważnej cyfry 3,250.000 franków. Również są zajmujące inne tutejsze cyfry. Oto naprzykład w roku ubiegłym w więzieniu królewskim przebywało krócej lub dłużej 300 przeszło ludzi, należących do 28 narodowości, z pomiędzy zaś nich 200 dostało się do więzienia za pijaństwo. Jest to główna wada drogich naszych wyspiarzy, lecz czyż można brać im za złe, że pragną niekiedy orzeźwić się jakim napojem, gdy termometr wskazuje nieubłaganie od 35° do 40° Cels.? Zresztą w ostatnich latach zaszła w tej

mierze pewna zmiana na lepsze, dawniej bowiem, gdy całe miasto składało się z dwóch hoteli i jednego sklepu, zapelnionego próżnemi butelkami, wówczas było jeszcze gorzej. O żandarmach nikt wtedy nie miał pojęcia, więzienie zaś uważano za bezpłatne mieszkanie. W owych to przedhistorycznych czasach missyjonarze nasi na wyspie Thursday pierwsze rozbili namioty.

W październiku 1884 r. missya w Oceanii tworzyła jeden tylko wikaryat, który miał w Nowej Bretanii dwie najbardziej kwitnące stacje missyjne. Chcieliśmy tam, o ile możliwości, zabezpieczyć na przyszłość naszą egzystencję i dopiero później rozwinąć zakres naszej działalności, ale ponieważ Jego Eminencya Kardynał Prefekt Propagandy pragnął jak najrychlejszego założenia missyi w Nowej Gwinei, przeto X. biskup Navarre zastosować się musiał do tego życzenia.

Po długiej i uciążliwej żegludze przybyliśmy do Australii wycieńczeni, wybladli, znużeni, a w dodatku bez pieniędzy i przyzwoitej odzieży. Od chwili wyjazdu z Nowej Bretanii, powierzchowność nasza tak dalece się zmieniła, że niektórzy na pierwszy rzut oka brali nas za zbiegów z Numei.

Wówczas jeszcze na wyspie Thursday mieszkali zaledwie parę katolickich rodzin i około 40 Manilczyków, ponieważ jednak ta wyspa była dla nas kluczem do Nowej Gwinei, na niej więc przedewszystkiem musieliśmy się zatrzymać.

Pewien poczciwy katolik ofiarował nam gościnność, w jego więc domu mogliśmy odprawiać Mszę św., a chociaż niewielu na nią zbierało się wiernych, atoli nam, biednym pionierom Królestwa Bożego, na nieznannej tej ziemi, wzniosła Ofiara Nowego Testamentu wielką sprawiła pociechę.

Nigdy jeszcze przedtem na wyspie Thursday nie mieszkał żaden kapłan, tylko w r. 1883 zatrzymał się na niej przez dni kilka X. Cani, dzisiejszy Biskup Rockhamptonu. Przedtem jeszcze, bo w r. 1847, jeżeli mamy wierzyć Maggillivrayowi, święta Kongregacya Propagandy wysłała tam jednego missyjonarza, Ojca Anjello, z dwoma zakonnikami braćmi. Wszyscy trzej wypłynęli szczęśliwie z Sydneyu, ale niebawem okręt ich rozbił się na wybrzeżu Kwinslandu (Queensland) i dwaj bracia utonęli. Co do O. Anjello, ten ocaliwszy się w cudowny prawie sposób, wyruszył w dalszą drogę, ale nie mogąc się osiedlić na wyspach w cieśninie Torresa z powodu dzikości krajowców, wylądował w mieście Port Essington, w parę zaś lat później umarł wespół plemienia Limbakarazów, nad których ewangelizacyą gorliwie pracował.

Natychmiast po przybyciu, zamiast się zabrać do nawracania krajowców, musieliśmy przedewszystkiem pomyśleć o wybudowaniu jakiegokolwiek schronienia. W tym celu wzniesiliśmy niebawem dom, którego weranda służyła za kaplicę. — Ewangelizacya krajowców

z wysp w cieśninie Torresa jest rzeczą bardzo potrzebną, ale niestety niezmiernie trudną, a to dlatego, że wyspiarzy jest bardzo niewielu, tak, że niepodobna ich znaleźć. Nigdy zresztą ilość ich nie była znaczną, gdyż od najdawniejszych czasów, pragnąc uniknąć przeludnienia, zabijali oni własne swe dzieci. Od chwili przybycia Europejczyków, cyfra krajowców szybciej jeszcze niż przedtem zmniejszać się poczęła.

Pod względem rasy, mieszkańcy wysp Torresa zdają się zajmować pośrednie miejsce pomiędzy Papuasami z Nowej Gwinei i właściwymi Australczykami. Nie są oni wprawdzie tak piękni i silni, jak pierwsi, ale daleko lepiej zbudowani od drugich i mają pewne podobieństwo do dzikich z nad rzeki Fly. Włosy noszą zwykle krótko ucięte, w nosie i uszach wiercą sobie dziury, przed każdą zaś uroczystością i zabawą zdobią głowy kwiatami lub piórami. Niegdyś tylko kobiety nosiły spódniczki, uszyte z liści palmowych, mężczyźni zaś tak prymitywny nawet strój uważali za zbyteczny; dzisiaj jednak wszyscy wyspiarze ubierają się bardzo przyzwoicie.

Większa ich część wiedzie życie koczownicze, rozkoszując się dowoli nieograniczoną swobodą. Podczas deszczu szukają schronienia pod drzewami, nie zadając sobie trudu sklecenia choćby z gałęzi jakiegokolwiek szalasu. Kiedyż biedni ci ludzie dadzą się nawrócić i ucywilizować!

Mówiąc o koczowniczym życiu, mieliśmy na myśli ciągłe niemal wędrówki z jednej wyspy na drugą. Łodzie tutejszych krajowców wyrabiają się z pni drzewa *Bombax* lub *Erythima* i opatrzone bywają zwykle dwoma długimi wiosłami; zamiast lin, służą im liany, duży zaś kamień wybornie zastępuje kotwicę. W takich to łodziach udają się krajowcy na połów żółwi i *dugongów*. Zasługuje na uwagę, że do łapania żółwia używają oni genialnego środka, który po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę Krzysztofa Kolumba podczas wiekopomnej jego wyprawy. Środek ten stanowi ogromna ryba, zwana trzymonowem albo remorą.

Już starożytni Grecy i Fenicyanie przypisywali tej rybce cudowną własność zatrzymywania okrętów, którą jednak dopiero nasi dzicy użytkować zdołali. Oto w jaki sposób ta manipulacya się odbywa. Złapawszy wpośród skał remorę, krajowcy w piękny pogodny dzień wypływają na morze i skoro tylko spostrzegą, że żółw na powierzchni wody w słonecznych wygrzewa się promieniach, wówczas przywiązują sznur do ogona remory, spuszcza ją do morza i czekają. Z początku ryba, ucieszona ze swej swobody, pluska wesoło na wodzie, ale niebawem spostrzegłszy drzemiącego żółwia, zbliża się doń cichutko i zakrada zdradziecko pod jego skorupę. Jest to stanowcza i najważniejsza chwila. Natychmiast krajowcy zaczynają ciągnąć sznur, żółw się budzi, zanurza i usiłuje oswobodzić, ale napróżno, bo remora trzyma się go zawzięcie. Wreszcie po jakimś czasie

siły biednego żółwia całkowicie się wyczerpują, krajowcy więc wyciągają go z łatwością na łódź. Co do remory, to skoro tylko uczuje, że już nie w swoim znajduje się żywiole, natychmiast puszcza swą zdobycz, wracając znowu do dawnego apatycznego stanu.

Atoli połów żółwi nie był jedyną rozrywką naszych dzikich, częstokroć bowiem urządzali oni wojenne wyprawy, bądź w celu rabunku, bądź też dlatego, by się pochłubić swoją walecznością. Od dawna już jednak walki te ustały z powodu braku walczących. Najbardziej słynęli ze swego męstwa dzicy Kuraregowie z wyspy Księcia Walii i Thursdayu, którzy nader często napadali na swych nieprzyjaciół, zabierając z pola walki głowy poległych, jako zwycięskie trofea. Napaści te wszakże nie uchodziły im bezkarnie, gdyż zaczepieni Badulegowie, Kulkalegowie i Massilegowie nie omieszkali nigdy wyrzec swej zemsty, skoro po temu nadarzyła się sposobność.



Wieśniaczka dalmatyńska z pod granicy Czarnogóry.

Oto jakimi byli szanowni wypiarze z cieśniny Torresa przed zetknięciem się z ucywilizowanym światem. W chwili naszego przybycia ilość ich była dość jeszcze okazałą, pragnęliśmy więc całym sercem zająć się nawróceniem biednych tych ludzi. Jedynym atoli środkiem pozyskania ich serc było przyjęcie dziatwy do ochronki, o czem w pierwszych miesiącach pobytu nie mogliśmy nawet marzyć. Przedewszystkiem musieliśmy zbudować kościół,

a żadnych na to niestety, nie mieliśmy środków.

»Od dawna już — pisał O. Verius w listopadzie 1885 r. — marzyliśmy o budowie świątyni. Wreszcie pewnego dnia zebraliśmy wszystkich Manilczyków, aby im wyłuszczyć, jak bardzo nasza missya potrzebuje kościoła. Poczciwi ludzie uznali jednogłośnie tę potrzebę i obiecali pracować darmo przy budowie świątyni.

— Zaczniemy tylko — rzekliśmy wtedy — a sam Pan Bóg ukończy«.

Rzeczywiście tak się stało i w kilka miesięcy później tenże sam misjonarz, ucieszony tem, że o kilka kroków od jego celi mieszka Zbawiciel, utajony w Przenajświętszym Sakramencie, pisał, co następuje:

»Nareszcie już nie jesteśmy sami. Ukochany nasz Zbawiciel zamieszkał z nami i to na zawsze. Misjonarz bardziej, niż ktokolwiek inny, potrzebuje serdecznego

przyjaciela, Bóg zaś jeden tylko jest takim przyjacielem, do którego w każdej chwili może się zwrócić, i który zawsze go zrozumie. Teraz więc zupełnie jesteśmy zadowoleni, niczego bowiem nie braknie nam do szczęścia«.

Słowa te były skreślone w r. 1885, gdy cała ludność katolicka tej wyspy składała się zaledwie z kilku Europejczyków i kilkudziesięciu wychodźców z Manilli. Wszyscy biedni ci ludzie kochali serdecznie O. Veriusa, którego zwali zawsze *Padre Enrico*, i który od samego początku ojcowską otoczył ich pieczę. Dlatego też gorliwy ten misjonarz pisał dnia 22 kwietnia 1885 r.:

»Każdego piątku wieczorem wszyscy nasi wierni zbierają się razem w celu odprawienia drogi krzyżowej, widok zaś pocziwych tych rybaków, całujących z pokorą krucyfiks w Wielki Piątek, z pewnością wzruszyły was do głębi. Są oni bardzo szczęśliwi z tego, że mają *Los Padres* w swem gronie i codziennie niemal przychodzą opowiadać nam o swych kłopotach lub prosić o radę. Skoro tylko zdołam nabyć dużą łódź, zdolną na pełnem utrzymać się morzu, wówczas zaczniemy zwiedzać kolejno liczne ich osady«.

To, czego O. Verius wówczas jeszcze zdziałać nie mógł, przypadło nam w udziale, przez czas niejaki bowiem dzieliliśmy życie odważnych tych żeglarzy. Życiu temu nie braknie wcale poetycznego uroku, ale ileż trudów i niebezpieczeństw zwykle mu towarzyszy!

Niegdyś wszyscy niemal poławiacze pereł rekrutowali się z Manilczyków, dziś jednak Europejczycy, a nawet Japończycy, zaczynają wstępować w ich ślady i ilość nurków manilskich coraz bardziej się zmniejsza. Należy zaś przyznać, że są oni jakby stworzeni do tego rodzaju życia. Jako doskonali marynarze nie boją się wcale burzy, a jako dobrzy katolicy odznaczają się głęboką wiarą i przed każdą wyprawą polecają się gorąco Najświętszej Pannie, oraz proszą o Mszę świętą za dusze w czyśćcu cierpiące. Na każdej łodzi płynie ich pięciu lub sześciu, zabrawszy ze sobą zapasy żywności, mogące wystarczyć na kilka tygodni.

Ileż uroku ma dla nich awanturnicze to życie, pod czystym lazurowym niebem, na fałach kołyszących łagodnie ich łodzie! Cóż to za rozkosz oddychać powietrzem, odświeżanem co chwilę lekkim powiewem południowo-wschodniego wiatru i napawać się prześlicznym, niezmiernym widokiem poważnego a groźnego oceanu!

Wieczorem białe żagle zostają zwinięte, statek się zatrzymuje i zarzuca kotwicę, wszyscy zaś żeglarze udają się na spoczynek.

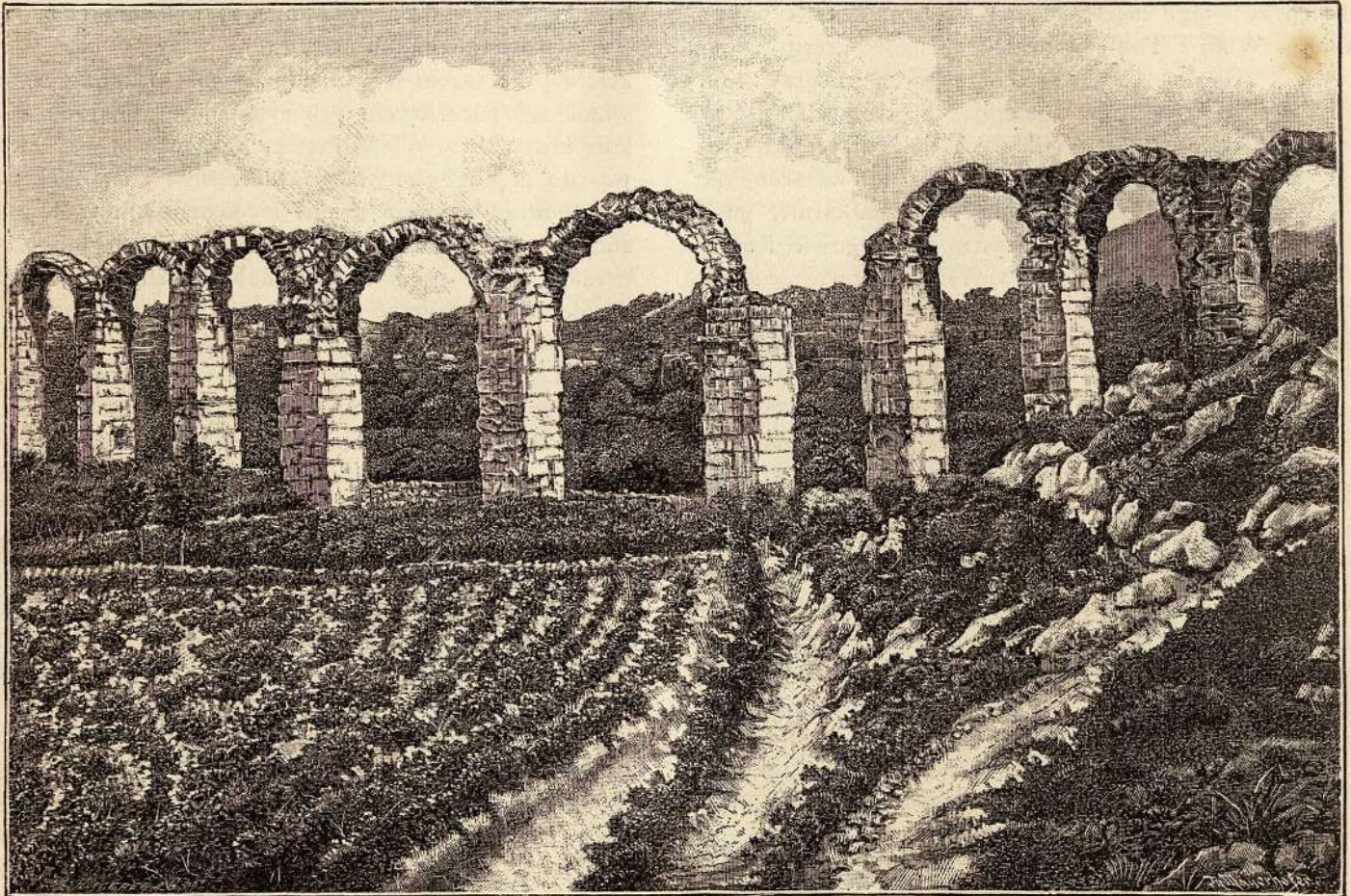
W oddali, na krańcu widnokregu, rysują się we mgle kontury jakiejś wyspy, pieniające się fale rozbijają się z szumem o boki łodzi, na niebie zaś pierwsze gwiazdki zaczynają migotać, przeglądając się wesoło w ruchliwej powierzchni morza. Niekiedy rozlega się śpiew bądź jakiegoś hymnu do Najświętszej Panny, bądź też narodowej pieśni Manilczyków, przypomina-

jącej im odległą ojczyznę. Jestto poetyczna strona tego życia, pełnego niebezpieczeństw i awanturniczych przygód.

Posłuchajmy teraz opisu cierpień biednych naszych nurków:

»Kiedy po raz pierwszy włożyłem kostium guta-perkowy — opowiadał mi jeden z nich — i ucułem, że się znajduję na samym dnie morza, zdawało mi się wówczas, że już nigdy nie ujrzę słońca i świeżem nie odetchnę powietrzem. Głowa moja obciążona kasz-

kietem brązowym, pękała z bólu, w uszach dzwoniło, oddech stawał się coraz krótszy, ruchome światło latarki ośniewało me oczy, cały zaś system nerwowy znajdował się w stanie zupełnego rozstroju. Pomimo znacznej ilości ołowiu, jaką mnie obarczono, straciłem wszelkie poczucie ciężaru i zdawało mi się, że płynę w niezmiernym jakimś obszarze, paprocie zaś morskie i inne wodne rośliny, potworne w mych oczach przybierały kształty.



Dalmacya. — Widok na wodociąg rzymski znajdujący się około Salony przed jego odnowieniem; podług fotografii.
(Zob. str. 248).

»Mimowoli zacząłem myśleć o wielu zaginionych bez śladu towarzyszach i tak wielka mnie wówczas ogarnęła trwoga, że dałem znak, aby mnie wyciągnięto z wody. Zaledwie też zdjęto mi kaszkiet, gdy krew trysnęła obficie z nosa i uszu, ale po chwili świeże powietrze wróciło mi przytomność tak, że nie pamiętałem już nawet, dlaczego kazałem sobie wyciągnąć. Iluż innych nurków zginęło na dnie morza, gdzie najmniejsze rozdarcie w kauczukowem ubraniu, może o śmierć przyprowadzić! Iluż znalazło śmierć z powodu pęknięcia rury, przez którą do dzwonu dochodzi powietrze, lub też wówczas, gdy na powierzchni morza zerwała się gwałtowna burza i łodzie pędzone wiatrem, ciągnęły za sobą

nieszczęśliwych nurków, nie mogąc im żadnej udzielić pomocy! Co do mnie, to spuszczać się na dno morza, błagam zawsze Madonnę o pomoc i opiekę«.

Biedny mój Pablo miał słuszość, gdyż poławiacze pereł, podobnie jak górnicy, chociaż narażają się ciągle na niebezpieczeństwa, prawie nigdy jednak się nie z bogacają.

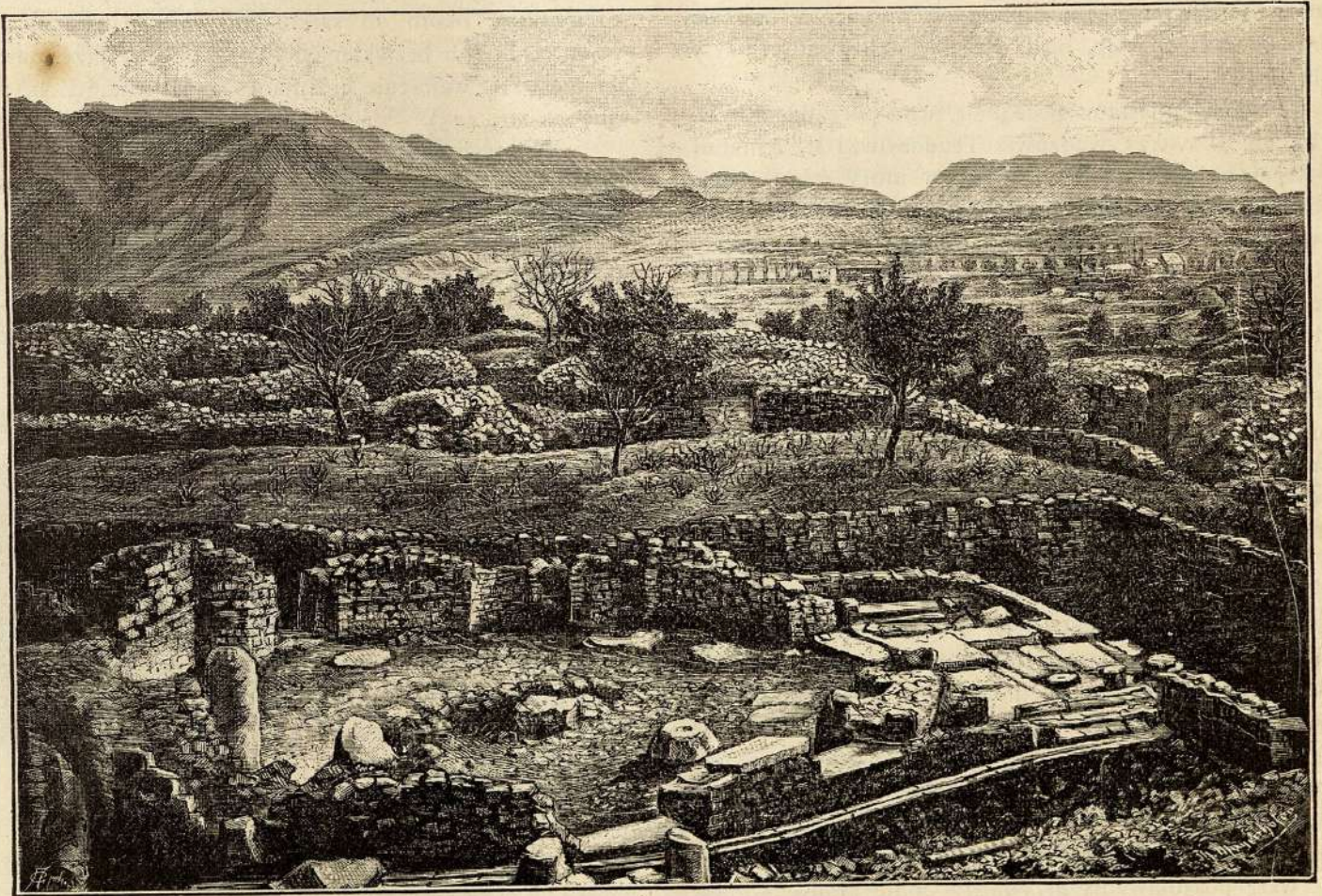
Bądź co bądź na wyspie Thursday ubodzy Manilczycy największą przynoszą korzyść missyi, oni to bowiem pomogli nam zbudować kościół, klasztor dla Sióstr, szkołę i szpital, który dla wielu z nich stał się bramą do nieba. Oni to również przyprowadzają dzieci krajowców do naszej ochronki i pomagają nam je żywić, a nawet wychowywać. Złoto płynące obfitą strugą w rękę

kupców i przemysłowców, nie zagląda prawie nigdy do kieszeni tych, którzy pracują dla wiecznego zbawienia swych bliźnich. Dlatego też w Thursdayu, podobnie jak w starej naszej Europie, grosz wdowi waży najwięcej na szali Władcy świata, za każdy zaś szeląg, dany przez ubożego, Bóg wynagradza go stokrotnie, bo dług to święty, który tylko Serce Jezusa może należycie wypłacić.

Od chwili swego założenia, missya w cieśninie Torresa znaczne uczyniła już postępy, ileż jednak dobrego

pozostaje do zrobienia! Ochronka nasza coraz bardziej zapełnia się dziatwą, którą trzeba odziewać i żywić, na sąsiednich zaś wyspach dzicy zaczynają zakładać wioski i — niestety — protestancy *teachers*, czyli nauczyciele, zajmują wśród nich miejsce katolickich misjonarzy, których personal zanadto jest szczupły.

Oby więc Stwórca raczył nam przysłać jak najwięcej pracowników dla zebrania dojrzewającego już plonu!...



Dalmacya. — Wykopaliska na cmentarzysku Manastrine koło Salony; podług fotografii. (Zob. str. 246 i nast.).

DALMACYJA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

XI.

Salona.

Kto ze Sebeniko przybywa koleją żelazną, lub jak piszący te słowa z Kninu i Sinja gościńcem do Spalatu, nie może pominąć Salony. Dziś jest to małe miasteczko, mające więcej ruin jak domów mieszkalnych. Podobnie jak Florencyja nazywa się córką Fiesoli, tak tu Salona jest matką Spalatu. Ta tylko różnica zachodzi, że podczas gdy Fiesole nigdy nie było wybitniejszym miastem

włoskiem, Salona w najdawniejszych czasach wielką rolę odgrywała na illiryskich wybrzeżach.

Gdy konsul Metellus w r. 117 przed Chrystusem wszedł do Dalmacyi, aby zawładnąć nad Illirami, znalazł Salonę ufortyfikowaną i otoczoną murem. Rzymianie wzmocnili je, i zrobili ze Salony jedną z największych warowni. Była nadto jednym z głównych miejsc portowych na Adryatyku, a najważniejszym od wschodnich wybrzeży.

Tu był punkt graniczny państwa wschodniego i zachodniego, ulubione miejsce cesarzy, zwłaszcza od czasu gdy Dyoklecjan ją przebudował, przyozdobił i wzmocnił nowymi murami.

Podług najnowszych badań archeologicznych *Colonia Martia Julia Salona*, (tak zwała się Salona za czasów Rzymskich), była otoczona murem długości 4000 metrów, wśród którego wystawało 88 wieżyc cztero lub pięciokątnych. Cztery bramy prowadziły do miasta: *andetria* od strony wschodniej naprzeciw Klissy była najważniejszą; następnie na zachodzie *capraria* wprost naprzeciw góry Koziak (Mons Caprarius), *suburbia* od strony północnej i *caesarea* najstarsza i dotychczas najlepiej zachowana od strony południowo-wschodniej. Dwie ośmiokątne wieże zdobiły jej wejście, a nad nią przechodził wodociąg, niedawno odrestaurowany i użyty dla Spalatu.

Upadek miasta rozpoczął się już z początkiem V w. Tak już w r. 425 wodzowie Teodozyusza II, Ardabur i Aspar oblegali Salonę, przyczem mury miasta wiele ucierpiały. W następnych latach hordy Gotów, Hunnów, Swewów, Herulów, pustoszyły Dalmację i dopiero, gdy nią zawładnęli r. 490 Ostrogoci, pod Teodozyuszem na czas krótki zapanował tu względny pokój. Nie ulega wątpliwości, że Salona była w pierwszej linii wystawioną na te napady, jako miejsce najważniejsze pod względem handlowym i nie mogła się oprzeć »barbarzyńcom«. Do zupełnej ruiny przysła jednakowoż dopiero po przybyciu Awarów w VII wieku. Część pozostałych przy życiu Salonitan schroniła się do pobliskiego pałacu Dyoklecjana i dała początek miastu Spalato.

Przez długie wieki aż do naszych czasów ruiny salonitańskie nie zwracały na siebie uwagi badaczy starożytnych pamiątek. Dopiero De Rossi około r. 1864 zachęcił członków centralnej komisji archeologicznej we Wiedniu i innych uczonych pisarzy *Mittheilungen*, do przedsięwzięcia poszukiwań w Dalmacyi, Istrii i Wenecyi, a przedewszystkiem w Akwilei i Salonie, gdzie jak spodziewał się, miały się znaleźć bogate pamiątki pierwszych czasów chrześcijaństwa ¹⁾.

Nadzieje nie zawiodły; w kilka lat później już pierwsze poszukiwania przyniosły obfite plony. Salona, a zwłaszcza cmentarzysko chrześcijańskie *Manastrine* stało się polem starannych badań, i ono przedewszystkiem zwraca na siebie oczy uczonych dalmatyńskich i niedalmatyńskich naszej ery archeologów.

Dzięki uprzejmości dzisiejszego dyrektora zabytków Dalmacyi Mgr Fr. Bulića, mieliśmy sposobność w jego towarzystwie zrobić wycieczkę do tych wykopalisk.

W kilkunastu minutach kolej żelazna przeniosła nas ze Spalatu na obszerną równinę, położoną tuż nad morzem, gdzie kilkadziesiąt rozrzuconych domów słabe daje świadectwo o potężnej niegdyś Salonie. Za miasteczkiem kilkaset kroków otwiera się przed nami widok na dosyć rozległe grunta (5000 m. □), zasiane licznymi grobami,

i rumowiskiem dawnych budowli. Zajmują one trzy jedna nad drugą płaszczyzny, odnoszące się do trzech epok.

Basilica major z V wieku, a odrestaurowana w VI zajmuje pierwszą płaszczyznę najwyższą; druga *area martyrum* kształtu elipsy, jest otoczona dziesięciu grobowcami, zbudowanymi między II a IV wiekiem; trzecia najniżej położona, służy za podstawę resztkom wspinałego grobowca i prywatnych zabudowań z końca I lub początków II wieku. W podobny sposób na różnych płaszczyznach są umieszczone groby najrozmaitszej konstrukcyi, około 70 sarkofagów, kilkadziesiąt krypt sklepionych lub bez sklepień i t. p. Tak się przedstawia na pierwsze wejrzenie cmentarz Manastrine. (Zob. rycinę na str. 245).

Z dotychczasowych badań okazuje się najpierw, że pierwotnie grunta cmentarza były własnością prywatną znakomitej salonitańskiej rodziny Ulpiuszów z końca I lub II wieku. Z układu grobów i formy sarkofagów, na najniższej warstwie, dowiadujemy się nadto, że ciała zmarłych były tu grzebane a nie palone. Ztąd twierdzą archeologowie, że rodzina Ulpiuszów była chrześcijańską, albowiem jedni chrześcijanie opierali się zwyczajowi wówczas powszechnemu w całym pogańskim państwie rzymskiem palenia ciał zmarłych. Napisy znalezione na innych sarkofagach na tym samym terenie rodziny Ulpiuszów, zdają się potwierdzać, że już z początkiem II wieku istniał tu cmentarz chrześcijański, a konsekwentnie była w Salonie już wówczas gmina chrześcijańska, a ci co spoczywali w tych grobach, byli uczniami św. Pawła i Tytusa, może i św. Piotra, oni to bowiem pierwsi głosili w Dalmacyi Ewangelię św.



Typ wieśniaka z okolic Kninu.

Niemniej interesujące są odkrycia w drugiej warstwie gruzów cmentarza. Oto pod konfessją *basilicae majoris* znaleziono groby kilku męczenników historycznej sławy.

Tak n. p. w jednym z sarkofagów znajdowały się zwłoki św. Kajana żołnierza, który w r. 299 razem z Paulinianem, Teliuszem i Antiochianem był towarzyszem męczeństwa św. Domnia biskupa Salony; z fragmentów napisu dowiadujemy się, że w innym grobowcu spoczywali salonitańscy męczennicy: Septimus diakon z Wiktoryuszem i Hermogenem, a nawet oznaczono dzień śmierci pierwszego NATALE SeptiMJ * MARTYriS DIE XIII KAL MAJAs.

¹⁾ Porów. *Roma Sotterranea*, I Pref. 82.

Najważniejszym faktem dla archeologów tutejszych było znalezienie sarkofagu sławnego męczennika świętego Anastasiusza, rodem z Akwilei, którego z rozkazu Dyoklecjana w dniu 24 sierpnia 304 r. zatopiono w salonitańskiej przystani.

Pobożna matrona Asklepia kazała złowić w morzu zwłoki męczennika i zwyczajem chrześcijańskim, owinąwszy w kosztowne prześcieradła i wonności, złożyła za miastem w prowizorycznym grobie na manastryńskim cmentarzu, a gdy prześladowanie ustało, zbudowała tamże bazylikę. W niej znajdował się jeden z najpiękniejszych sarkofagów marmurowych, a napis na nim świadczy, że zamykał w sobie zwłoki właśnie tej samej pobożnej Asklepii i jej męża.

Jedna strona sarkofagu przedstawia w płaskorzeźbie obojga małżonków, otoczonych dziećmi i wnucami,



Typ wieśniaczki z okolic Kninu.

w chwili ostatniego pożegnania, scenę jedyną, znaną dotychczas w starych pomnikach chrześcijańskich; na drugiej jego stronie widzimy dusze małżonków i dwu wnucząt wziętych do nieba w chwili, gdy modlą się za pozostałymi dziećmi i krewnymi na ziemi. Towarzyszy im figura mężka świętego przewodnika i pośrednika przed tronem Bożym; naturalnie jest to św. Anastasiusz męczennik, którego zwłoki ocaliła Asklepia. Piękny napis metryczny mówi nam o przyczynie śmierci chrześcijańskiej matrony, a zarazem tłómaczy

scenę wyrzeźbioną dłutem w marmurze:

Quamvis patroni ad tribunal erunt ei Christi
Martyres, tumula quorum ornavit felix;
Idcircoque I [aeta expectet futurum jud] icu [m]
Audemus tamen haec e [ffari cum] gemitu.
Exi [mia quiescit Asclepia fide] lis in pace,
[Cui requiem tri] buat Deus omni [pote] ns rex,
[Inter Beatos ut illi s] it bene post obitum.
[Illa tulit multa advers] is incommoda rebus
[Atque infelici e] st fine perempta quoque:
[F] unesto gravis heu! triste puerperio
Nequivit miserum partu depromere fetum,
Hausta qui nondum luce peremptus obiit;
Atque ita tum geminas gemino cum corpore praeceps
Letum ferali [transtu] lit hora an [imas].
At nos moerentes, conjux natiq[ue] generque,
Carmen cum lacrimis hoc tibi c[on]scribimus].

Cmentarz Manastrine, własność dawnej rodziny Ulpiuszów, w następnym wieku przeszedł prawem dziedzictwa w posiadanie Asklepii. W połowie IV wieku,

jak się to okazuje z kilku napisów współczesnych, nazywa się już nie *praedium Asclepiae* lecz *legis sanctae Christianae*, t. j. wyznawców świętego prawa chrześcijańskiego; tytuł to urzędowy, podobny innym, jak n. p.: *locus sanctus fratrum, cunctae fraternitatis, ecclesiae*, któremi oznaczano cmentarze chrześcijańskie.

Podczas napadów barbarzyńskich na Salonę, również i na cmentarzu grobowce i krypty męczenników bardzo ucierpiały. Wstęp do nich stał się prawie niemożliwy dla licznych pielgrzymów, szukających tutaj łask i cudów, zwłaszcza przy relikwiach św. Anastazyusza, także dla tych, którzy chcieli brać udział w publicznych nabożeństwach. Ażeby temu zaradzić, na mausoleach męczenników zbudowano większą bazylikę (*Basilica major*), której gruzy, jak to wyżej powiedzieliśmy, znajdują się na trzeciej i najwyższej płaszczyźnie cmentarza.

W konfessyi umieszczono ciała 14 męczenników, częścią w sarkofagach, częścią w ścianach świątyni. Tak trwało do r. 639, w którym Salona ostatecznie do szczytu została zburzoną, a z nią i wielki kościół Manastryński. Papież Jan IV (640—642), rodem Dalmatyniec, dowiedziawszy się, że jego ojczyznę pustoszą barbarzyńcy, wysłał opata Marcina, aby wykupić z niewoli jeńców chrześcijańskich.

Marcin wracając do Rzymu, zabrał ze sobą ciała niektórych męczenników, między innymi świętych Wenancyusza, Anastazyusza, Maura i Septima dyakona, Ojciec św. dedykował im oratorium św. Wenancyusza w Lateranie, a piękna mozaika w absydzie przechowuje do dzisiejszego dnia imiona owych Świętych salonitańskich sług Bożych, którzy krew za Chrystusa przelali.

Ze wszystkich zabytków starożytnych chrześcijańskich, jakie dotychczas istnieją, cmentarz manastryński tem się odszczególnia, iż przechował w swych pomnikach tradycję nieprzerwaną pierwszych rodów chrześcijańskich aż do VII wieku, zabytki architektoniczne i ewolucję prawną owej epoki; również dlatego, iż był miejscem spoczynku ciał męczenników historycznej sławy. Dla Dalmacyi w szczególności ma wyjątkowe znaczenie: jest niezbitym dowodem jej łączności z Rzymem chrześcijańskim i Stolicą Piotrową od czasów apostołskich, i to tak silnej łączności, że salonitańskich męczenników przeniesiono do Bazyliki Laterańskiej, Matki kościołów całego Chrześcijaństwa.

Znaczną część wykopalisk z cmentarza i jego okolic umieszczono w obszernym muzeum starożytności Spalatu. Są tam już nietylko chrześcijańskie zabytki, ale również nieocenione skarby archeologiczne z czasów panowania Rzymian w Dalmacyi, rzeźby marmurowe, zbroje — monety — przedmioty kruszcowe, kamienne i szklane. Te ostatnie swoją delikatnością i piękną formą, szczególniejszą na siebie zwracały uwagę. Dziwić się wypada, że już wówczas wyrabiano najzgrabniejsze cacka szklane, mogące rywalizować z arcydziełami tego

rodzaju dzisiejszej Wenecyi. Odłamki żuźli, zabarwionego szkła, wyrobów ceramicznych i t. d., wszystko to rzuca światło bardzo dodatnie na ówczesny przemysł salonitański, a zarazem jest dowodem wysokiej kultury, do jakiej doszły stare kolonie rzymskie.

Jako konieczny dodatek do mrówczej pracy archeologów Salony i Spalatu jest pismo miesięczne *Bulletino di Archeologia e Storia Dalmata*, wychodzące już od lat 17-tu w Spalacie, obecnie pod kierunkiem Msgra Bulića, niestrudzonego badacza i konserwatora starożytności dalmatyńskich, a zarazem dyrektora spalateńskiego gimnazjum. Dotychczas w tym miesięczniku ogłoszono przeszło 230 napisów łacińskich lub greckich z pierwszych wieków ery chrześcijańskiej; nie pominięto w nim żadnego ważniejszego zabytku, o którym nie zawiadomiono czytelników i nie objaśniono go w sposób gruntowny a przystępny.

Podczas zwiedzania tych nader interesujących ruin Salony, grupa wieśniaków i wieśniaczek otoczyła nas i prawie każdy miał coś na sprzedaż. Ten monety rzymskie miedziane i srebrne, ów kamey prześlizczone, inny odłamki marmurów z kilku literami. Cywilizacja kupiecka dotarła widocznie i w te strony sławiańskie. Wprawdzie nie doszła do tej perfekcji, jak we Włoszech, gdzie podrabiają znakomicie czy to monety, czy lampki katakumbowe i domagają się za nie sum bająńskich, jednak i tutaj umieją ocenić wartość starożytnych przedmiotów. Monety rzymskie — nie podrabiane — nabyliśmy prawie za bezcen, ponieważ jeszcze nie stały się rzadkością, za to za kamey żądano stosunkowo pokątną kwotę, bo bardzo są poszukiwane, zwłaszcza od czasu, gdy jeden z Arcyksiążąt austriackich za pośrednictwem msgra Bulića począł tworzyć całą ich kolekcję z ziemi dalmatyńskiej. Odłamki marmurów w oczach profana, nie przedstawiające prawie żadnej wartości, u naszych Słowian stały się przedmiotem cennym zbytu, bo wiedzą dobrze, że prof. Bulić nie odrzuci ani jednego kawałka kamienia, skoro tylko znajdzie na nim jaką literę grecką lub łacińską. Nieraz z drobnych odłamków składają się całe tablice z napisami, wyjaśniającymi pojedyncze fakta lub dzieje przeszłości. Spryt archeologa nawet tam, gdzie jego oko nie jest w stanie wyczytać niektórych słów, umie je uzupełnić wiadomościami skąd inąd zaczerpniętymi. Ile na to potrzeba łożyć czasu i trudu, jakiej cierpliwości, pamięci, ten tylko ocenić jest w stanie, kto zbliska przypatrzył się mrówczej pracy badaczy starożytnych pomników.

Gdym wracał z mogiły wielkiego i potężnego miasta Salony, zwrócono moją uwagę na wodociąg (dziś odrestaurowany), most i drogę pozostałe po Rzymianach. Każdego kto tu przybywa mimowoli musi opowiadać podziw nad rozumem tego narodu, który od zapewnienia sobie wody i komunikacji każdą swą okupację

zaczynał. Ktoś słuszną zrobił uwagę, że za rzymskich czasów nie znano jeszcze rozdziału władzy na rządową i autonomiczną, gdy czynności własnego zakresu tak doskonale załatwiano.

X. Marcin Czerwiński.

(C. d. n).

LISTY Z BENGALU.

Nowatolli dnia 9 sierpnia 1893 r.

Nowatolli jest to środkowa stacya w rozległym powiecie, mającym od 25—27 mil długości na 20 mil szerokości, oraz przeszło 6000 mieszkańców chrześcijan. Powiedzmy nawiasem, dla łatwiejszego zrozumienia przez czytelników szczegółów umieszczonych poniżej, że powiat ten ma kształt trójkąta, którego wszystkie trzy kąty zajmują nasi wierni. Na wschodzie mieści się Nowatolli, na zachodzie Panari i Nowagarh, nieszczęśliwa miejscowość, w której chrześcijanie niesłychanego doznawali ucisku, a wreszcie na południowo-zachodzie po za olbrzymimi lasami żyzna kraina Biru, gdzie wprawdzie nasi wierni wiele przykrości mieli do zniesienia, ale w danej chwili już nieco swobodniej zaczynają oddychać. W środkowej części tego powiatu nie rozwinęliśmy dotąd naszej działalności, odkładając ją na lepsze czasy, to jest do chwili, w której personal misyjny zwiększy się o tyle, iż będziemy mogli rozszerzyć dotychczasowe pole pracy.

Dość już jednak tych geograficznych danych, nie zamierzam bowiem wcale kreślić historii tutejszego powiatu, ale chciałbym tylko naszkicować dla was kilka obrazków naszego codziennego życia.

Kiedy list mój dzisiejszy dojdzie do Ranchi, tego nie zdołałbym określić. Jedną z charakterystycznych cech Nowatolli jest to, że miejscowość ta od czasu do czasu bywa oddzieloną od reszty cywilizowanego świata wezbranami falami rzeki Koel, płynącej w niewielkiej ztąd odległości. Rzeka ta w danej chwili dzięki i groźny przedstawia widok. Łożysko jej w wielu miejscach zapełniają olbrzymie skały. Tu woda z głośnym łoskotem oblewa twardą opokę srebrzystymi kroplami, tam pieniące się fale uderzają o czarne głązy, jakby chciały usunąć tę przeszkodę, gdzieindziej znowu z głuchym hukiem, podobnym do odgłosu dalekiego grzmotu spadają, tworząc przepyszną kaskadę. Ponieważ na rzece niema ani jednego mostu, jedynym więc środkiem jej przebycia musi być żegluga w łodzi, wyciosanej z pnia drzewnego i kierowanej przez dwóch wioślarzy, trzymających w dłoni ogromne bambusowe drągi. Biada, jeżeli jeden z tych drągów się złamie, lub też ugrzęźnie w bagnie, gdyż łódź wówczas z łatwością może rozbić się o skały. Zbytecznem byłoby mówić, że nie bez pewnej obawy puszczamy się w taką podróż, w porze zaś deszczowej żegluga ta całkowicie niemożliwą się staje.

W roku bieżącym widocznie dla urozmaicenia nam czasu, złożył missyi wizytę ogromny wąż wodny, mający kilka cali grubości, około trzech metrów długości i szkaradną głowę wielkości dłoni. Rozgościł się on w wysokiej trawie w pobliżu miejsca, służącego nam za przystań, ale na szczęście w parę dni później opuścił to stanowisko, ocalając nas w taki sposób od wielkiego niebezpieczeństwa. Wąż ten jest prawdziwym *pythonem* indyjskim.

Ponieważ zacząłem już mówić o porze deszczowej, niech mi więc będzie wolno opowiedzieć w kilku słowach o naszych wędrówkach w tym okresie.

W całym kraju płynie mnóstwo rzek mniejszych lub większych od rzeki Koel, a będących dla nas źródłem wielu rozrywek i przyjemności. Weźmy naprzykład missyjonarza, jadącego konno gościńcem lub bocznymi drogami. Niestety, ma on do przebycia jedną z tych niewielkich rzek, ale ponieważ niejednokrotnie już ją przebywał i teraz więc decyduje się na to. Nagle jednak koń jego traci grunt pod nogami i zaczyna płynąć, jeździec zaś całą siłą trzyma się grzywy swego rumaka, poczytując się za szczęśliwego i winszując sobie, jeżeli dzięki ćwiczeniom gimnastycznym zdoła utrzymać się na siodle. Lecz oto natrafia na ławicę z piasku, w którym wierzchowiec grzęźnie po kolana. Niekiedy znowu rzeki te wzbierają i występują z brzegów. Co począć w takim razie? Rzucić się wpław znaczyłoby to samo, co narazić swe życie na niechybne niebezpieczeństwo. Nie pozostaje więc nic innego, jak poszukać miejsca łatwiejszego do przebycia, co nie jest rzeczą zbyt ponętną. Bądź co bądź trzeba jechać dalej ścieżkami, ciągnącymi się pomiędzy polami ryżowemi, zalanemi wodą. Ścieżki te niekiedy bywają zbyt wąskie dla biednego konia, który nareszcie zwraca się na pole, brnąc w wodzie i obryzgując swojego jeźdźcę, oraz od czasu do czasu wdrapując się na ścieżkę, aby po chwili znowu nurzać się we wodzie. W taki sposób odbywa się podróż na znacznej niekiedy przestrzeni, nietylko zaś jest ona nieprzyjemną, ale nawet połączoną z pewnym niebezpieczeństwem. W ostatnich czasach jechałem do chrego, mieszkającego o pięć mil od missyi i znajdowałem się już prawie w celu podróży, gdy nagle droga zwróciła się w kierunku ryżowego pola, które mi się wydało podejrzanem. Służący mój ofiarował się zbadać grunt i wyruszył naprzód, skacząc to na jednej, to na drugiej nodze. Ponieważ zaś sam nie ugrzązł w bagnie, sądził więc, że i mój koń nie ulegnie temu losowi.

Niestety, na samym środku pola uczułem nagle, że siodło z podemnie się wymyka. Pomimo rozpaczliwych wysiłków, biedny wierzchowiec Biżu (Bijon) wpada po szyję do wody tak, że zaledwie zdołałem zeń zeskoczyć. Natychmiast więc biorę się do dzieła, to jest ciągnę niefortunnego pegaza za cugle, służący zaś chwytą go za ogon. — Hej Biżu! ruszaj Biżu! — wo-

łamy obaj z całego gardła. Wreszcie Biżu dokonywa bohaterskiego skoku i jesteśmy ocaleni. Ale niestety, o dalszem posuwaniu się naprzód nie może nawet być mowy. Zegarek wskazuje dziesiątą, od Nowatolli zaś dzieli pięć mil drogi. Pomimo tego wyruszamy z powrotem i około godziny 1-szej przybywamy zgłodniałi. Jeżeli kiedykolwiek wyobraźnia młodych aspirantów do życia missyjnego ubarwiała poezją długie wędrówki missyjonarza, to kilka powyższych szczegółów wystarczyłoby z pewnością do rozwiania tych złudzeń. Ach, o poezji niestety nie może tu nawet być mowy, nie ona też przewodniczy naszym krokom i nie ona wynagradza nas za trudy. Daleko piękniejszą od niej nagrodę znajdujemy w uczuciu zadowolenia ze spełnionego obowiązku, oraz z odrobiny dobrego, zdziałanego względem biednych dzikich.

Jeden z ostatnich »Listów z Bengalii« donosił, że okolice Nowatolli dostarczają największej ilości podróźnych, szukających schronienia w ranchijskiej derze, czyli gospodzie. Rzeczywiście całe setki naszych wiernych corocznie tam się udają, bądź dla toczenia procesów, bądź też dla opłaty podatku. Może myślicie, że biedni bengalscy chrześcijanie są z natury kłótlivi i pochopni do procesów? Wcale nie. Nie zamiłowanie w pieniaczynie każe im odbywać tak dalekie podróże, ale prawdziwa walka o byt. Gdybyście mogli zwiedzić nasz *bungalow*, czyli dom missyjny, to codziennie na każdym niemal kroku, a zwłaszcza w pewnych porach roku przekonywalibyście się o tem.

Każdego dnia prawie, na drodze wiodącej do missyi można dostrzedz gromadki ludzi, obarczonych pakunkami. Znowu jakiś proces — mówimy do siebie i nader rzadko się mylimy. Niebawem podróźni zwracają się do *bungaloru* i natychmiast większa ich część spieszy rozgościć się w *derze*. poważniejsi zaś mężczyźni przychodzą do nas na powitanie i kłękają, prosząc o błogosławieństwo.

— Dokąd idziecie? — zapytuje zwykle missyjonarz.

— Do Ranchi dla prowadzenia procesu.

— A z kądże jesteście?

W odpowiedzi na to zapytanie biedacy zaczynają opowiadać o swych kłopotach, opowiadanie zaś ich bywa najczęściej zagmatwane, niekiedy zaś bardzo smutne.

— Idziemy z Biru — mówią jedni — gdyż właściciel naszej wioski oświadczył, że chrześcijanie nie mogą odtąd zabrać z lasu ani jednej gałązki drzewa. Prawo to przysługuje tylko poganom. Cóż więc pocniemy? Czem będziemy naprawiać domy i na czem ugotujemy ryż?

— My mieszkamy w Nowagharze — dodają inni. *Diku* zabrał nam wszystko, woły, kozy, a nawet miedziane półmiski i rzekł: Wyrzeczcie się religii chrześcijańskiej i zostańcie, jak dawniej, poganami, a wszystko odzyskacie. My jednak nie chcemy służyć szatanowi,

przyszliśmy więc do was, abyście nas wsparli, gdyż w przeciwnym razie będziemy zgubieni.

Jakże bolesną prawdę zawierają ich słowa!

Nie będę przytaczał wszystkich przykładów niedoli naszych chrześcijan, ale poprzestanę na opisie jednego tylko faktu, jednego epizodu ze smutnych dziejów ich przesładowania. W ostatnich czasach w jednej z sal naszej dery umarł pewien młodzieniec. Oto jak się rzecz miała:

Właściciel pewnej wsi w Biru, ulegając namowom jakiegoś niegodziwca, postanowił w sposób zupełnie nieprawny powiększyć czynsz od swych gruntów. Większa część dzierżawców pogan zgodziła się na to, chrześcijanie jednak uznali jego pretensje za niesłuszne i niezasadnione. *Diku* więc czyli dziedzic wytoczył im proces, wkrótce zaś nadszedł rozkaz z trybunału ranchijskiego, wzywający z każdego domu po dwóch lub trzech członków rodziny do stawienia się w Ranchi. Należało więc spełnić ten rozkaz, pomimo, iż wówczas właśnie w polu wrzała robotą, był to bowiem okres zasiewów ryżu, od których w znacznej części zależy dobrobyt lub głód w roku następnym. Ogólnie też mówiono, że chyba sam szatan wybrał ten czas do procesu, aby jak najbardziej udręczyć chrześcijan. Koniecznie trzeba było wyruszyć w drogę, w przeciwnym bowiem razie można było na pewne spodziewać się przegranej. Około więc 140 ludzi musiało porzucić pracę i wydobywszy z ukrycia kilka ostatnich rupij, naładować po dwa kosze ryżem, naczyniami, oraz odzieżą, poczem uzbroiwszy się w łaskę lub siekiere i ogromny parasol z włókien bambusowych, puścić się w podróż niewygodną i przykrą. Szare chmury pokrywające niebo, zapowiadały biednym wędrowcom okropne ulewy, po których rzeki występują z brzegów, stając się prawie niemożliwymi do przebycia. W lasach włóczą się tygrysy, węsząc upragnioną zdobycz, biada więc temu, kto by zboczył z drogi, lub się oddalił od swych towarzyszy. Codziennie niemal słychać o znalezieniu to tu, to ówdzie kości ludzkich, świadczących o opłakanym losie jakiegoś nieszczęśliwego wędrowca. Atoli pomimo wszystkich tych przeszkód, biedni nasi chrześcijanie idą coraz dalej i dalej, a wreszcie po przebyciu 12 mil najszkaradniejszej drogi, pierwsze ich gromadki dosięgają Nowatolli i zabierają się do przyrządzenia skromnego posiłku. Dziwacznym nieco był widok tego mnóstwa ludzi, siedzących na skałach w pobliżu naszej missyi, osłoniętych olbrzymimi parasolami i zajętych gotowaniem ryżu. Musieli oni się spieszyć z załatwieniem kulinarnych zatrudnień, gdyż groźny szmer rzeki Koel zapowiadał, że niebawem wody wystąpią z łożyska i bystra ta rzeka stanie się trudną do przebycia.

Wkrótce potem nadciągnęła nowa gromadka, mówiąc, że o 3 mile od Nowatolli pozostali na drodze dwaj ludzie, którzy nagle zachorowali. Jestto jednak

zapewne chwilowa niedyspozycja — dodali podróżni — którą trochę wódki z kamforą usunie z łatwością. Wysłałem więc to lekarstwo i rzeczywiście jeden z chorych przyszedł niebawem, mówiąc, że już lepiej się czuje. Towarzysz jego jednak w daleko gorszym znajdował się stanie i dopiero około północy przyniesiono go do missyi. Biedny młodzieniec leżał na macie, wijąc się z bólu, ręce i nogi miał zimne, jak lód, głos słaby, policzki zapadłe i uskarżał się ciągle na dokuczliwe pragnienie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa biedny ten człowiek zapadł na cholere, której przyczyną była podróż wśród deszczu i słoty.

Młodzieniec ten niegdyś odznaczał się siłą i zdrowiem, ale podobne podróże zdołają nadwerężyć najsilniejsze nawet organizmy. Skoro tylko przybył, kazałem go nacierać w celu rozgrzania i dałem mu sporą dawkę *koeny*, poczem udzieliłem mu Sakramentów świętych, które chory przyjął pobożnie i z chrześcijańską rezygnacją. Nieszczęśliwy mawiał od czasu do czasu, że cierpi okropnie i chciałby już jak najprędzej pójść do miłosiernego Boga. Noc jednak przeszła spokojnie; nazajutrz towarzysze jego podążyli dalej, biedny zaś chłopak przeżył jeszcze dni parę, ale wśród okropnych cierpień. W ostatnich chwilach życia męczył się tak strasznie, że się nie mógł od łez powstrzymać. Pogrzebałem go na naszym missyjnym cmentarzu.

Gdybym miał w Nowatolli porządną domową apteczkę, możebym zdołał go ocalić, lub przynajmniej ulżyć jego cierpieniom. Bolesnie jest patrzeć na czyjeś katusze, nie mogąc najmniejszej przynieść nawet ulgi. Dlatego też postanowiłem was prosić o 40 lub 50 fr. na zaopatrzenie domowej apteczki w najniezbędniejsze lekarstwa, oraz kupno kilku dobrych książek medycznych.

Oto krótki rzut oka na zatrudnienie i kłopoty, przypadające nam w udziale z powodu ciągłych procesów, toczonych przez naszych chrześcijan. Nie zdołałem wprawdzie wyczerpać tego przedmiotu, ale to dlatego jedynie, że nie chciałbym znudzić swoich czytelników.

Na zakończenie pozwólcie mi powiedzieć słów parę o naszej rezydencji i szkółce.

W roku bieżącym Nowatolli było widownią nader ważnego wypadku. Oto zbudowaliśmy kaplicę. Należy przyznać, że nieco dziwnie wygląda rezydencja missyjna bez kaplicy, tutaj jednakże musimy się stosować do rozmaitych okoliczności i znosić cierpliwie brak tego, co w innych krajach niezbędnem się wydaje. Dziś więc mamy już świątynię. Nie wyobrażajcie sobie jednak wspaniałego gmachu o śmiałych łukach, lekkich i wysmukłych kolumnach, ozdobionego przepyszną rzeźbą, tak delikatną jak koronka. Są wprawdzie szczęśliwi missjonarze, którzy zdołali urzeczywistnić podobne marzenia i roztoczyć przed oczyma pogan wspaniałe przepychy naszych europejskich kościołów. My jednak dalecy jesteśmy od tego. Są wprawdzie architekci, którzy kre-

śląc plany przyszłej budowy, puszczają wodze swej wyobraźni, później zaś dopiero obliczają koszty, stanowiące dla nich rzecz podrzędnej wagi. U nas jednak wręcz przeciwnie się dzieje, musimy bowiem przedewszystkiem wziąć w rachubę niewielką jaką kwotę, później zaś dopiero zastanowić się nad tem, co za tę sumę dałoby się zrobić. Kaplica nasza długa na 18 metrów, a na 8 metrów szeroka, ma białe murowane ściany i dach z pięknej czerwonej dachówki. Sufitu jednak nie posiada wcale, posadzkę zaś zastępuje ubita glina. Chór daleko okazalej się przedstawia, gdyż Brat Lemoine, który kierował jego budową, dołożył wszelkich możliwych starań, aby tę część świątyni jak najwspanialszą uczynić. Naturalnie całość kaplicy wygląda nader ubogo, ale też na jej budowę mieliśmy zaledwie około 1700 fr., to jest kwotę, za którą w Europie możnaby zaledwie nabyć lichy domek. Mniejsza jednak o bogactwo; w każdym razie mamy już w Nowatolli dom Boży, w którym wierni nasi mogą się zbierać na nabożeństwo. W pobliżu kaplicy rozciąga się cmentarz, na nim zaś u stóp wyniosłego krzyża spoczywa nieodżałowany O. Vanderkeilen, a obok niego czworo małych dzieci z pobliskiej osady i biedny młodzieniec z Biru, o którym mówiłem przed chwilą.

O szkole nader wiele dałoby się powiedzieć, jak naprzykład to, że budynek użyty w tym celu, chyli się już niemal ku upadkowi. Coraz też bardziej daje się uczuwać potrzeba nowej szkoły, na którą wybrałem nawet miejsce naprzeciw naszego *bungalowu*. Myślę o niej codziennie, a nawet oczyma wyobraźni widzę ją już gotową i zajętą przez naszych uczniów, ale niestety z kwoty 2000 fr. niezbędnych do jej budowy, nie mamy jeszcze dotąd ani jednego centyma.

W roku bieżącym mieliśmy 75 uczniów, o nauce ich jednak, figlach i zabawach innym chyba razem wam opowiem. Dziś muszę dodać to tylko, że szkoła ta nader piękną ma przed sobą przyszłość, tem bardziej, że rodzice powierzają nam chętnie swoje dzieci.

Staramy się też o ile możności, aby jak najwięcej dziewcząt kształciło się w szkółce, utrzymywanej w Ranchi przez Siostry. Nie łatwa to rzecz wszakże, gdyż szczególnie matki nie chcą nawet słyszeć o rozłączeniu z córkami. Gdy wreszcie uda się nam zdobyć pewną ilość uczennic, wówczas te ostatnie przybywają do Nowatolli, nazajutrz zaś rano siadają na wóz pomiędzy garnkami, półmiskami i workami z ryżem i na znak dany przezemnie, niecierpliwie woły ruszają naprzód pędząc z początku co sił im starczy, ku wielkiej radości małych podróżnych.

X. L. Dasnoj.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Azya. — Arabia. — Pielgrzymki do Mekki i cholera. Ze sprawozdania Dra Czimmin'a, inspektora sanitarnego w porcie bombajskim, wyjmujemy następujące szczegóły:

W słynnej corocznej pielgrzymce do miasta proroka, bierze zwykle udział około 150.000 pielgrzymów, którzy ze wszystkich zakątków muzułmańskiego świata, ściągają tłumnie do rozmaitych portów nad morzem Czerwonem. Corocznie też niemal w tak liczonym tłumie ludzi wybucha ospa lub cholera. Według przybliżonego obliczenia, w najlepszym nawet razie umiera w drodze około 20% fanatycznych tych pielgrzymów, w latach zaś, w których epidemia znacznie przybiera rozmiary, przeszło 35% nieszczęśliwych muzułmanów staje się jej ofiarą.

Główną przyczyną tak okropnej śmiertelności jest brak wszelkiego porządku i czystości w miastach Dżydda i Mekka, stanowiących wyborny grunt dla rozwoju epidemicznych zarazków. Dlatego też mylnie mniema Europa, że źródła tak okropnej zarazy, jaką jest cholera, należy szukać w Indyach Wschodnich, prawdopodobnie bowiem przynoszą ją z Arabii pielgrzymi jadący przez Damaszek i inne miasta syryjskie. Ponieważ kwestya ta posiada tak olbrzymie międzynarodowe znaczenie, podług więc Dra Crimmin'a rządowe władze egipskie powinnyby zorganizować we wszystkich ważniejszych portowych miastach arabskich nad morzem Czerwonem, jak również w głównych ogniskach pielgrzymki, a mianowicie w Kameranie, El-Torze, Dżydzie, Mecce i Medynie, daleko ściślej, niż dotąd, policję sanitarną. Nadto Dr Crimmin dodaje, że cała droga z Dżyddy do Mekki i Medyny jest jakby wybrukowaną kośćmi ludzkimi. Do jak olbrzymich ofiar zdolny jest muzułmański fanatyzm względem swego fałszywego proroka!

Wikaryat apostolski wschodniego Hu-Pe. — Chrześcijańskie gminy. — „Pole pracy — pisze O. Jordan-da-Pergine — wyznaczone mi przez Boga, jest nader rozległe, ponieważ zaś ilość apostolskich pracowników jest stosunkowo zbyt szczupłą, każdy więc misjonarz nie mało ma do zrobienia. Missya moja pod względem obszaru jest może większą nieco od Tyrolu, nigdzie zaś niema tu porządných dróg, ale tylko kręte ścieżki na 20 centymetrów szerokie. Nigdzie też, jak sięgnąć okiem, nie widać ani gór, ani pagórków, dokoła bowiem ciągnie się niezmierną równiną, pokryta łanami zboża i licznymi przerzniętą rzekami.

Głównymi płodami rolnymi są ryż, bawełna i pszenica. Jeżeli rok jest suchy, wówczas mieszkańcy obfite z pól swych zbierają plony, skoro jednak nastąpi powódź, w takim razie całe gromady nieszczęśliwych krajowców podążają do innych prowincyj, szukając chleba i zarobku. Mieszkania wieśniaków z nielicznymi wyjątkami zbudowane są z trzciny i pokryte słomą, naga zaś ziemia służy za podłogę. Zwykle nędzne te lepianki dzielą się na dwie części, z których jedna służy za kuchnię, druga zaś za jadalnię i sypialnię dla ludzi, psów, świnek, kur i t. p. Codzienne pożywienie stanowi ryż przyrządzony z pieprzem i oliwą, ale bez soli, w wyjątkowych zaś tylko okolicznościach, jak naprzykład w czasie odwiedzin misjonarza, na stole biednych tych ludzi ukazuje się mięso. Wino zupełnie jest tutaj nieznanne, ponieważ zaś potrzebujemy go do Mszy świętej, musimy je więc corocznie sprowadzać z Europy. Za opał służy tutaj słoma, chrust i suche łodygi bawełny, ogień zaś, jak za czasów Noego, roznieca się za pomocą krzesiwa.

Co do missyjnej działalności, to nader liczne na swej drodze napotyka ona przeszkody. Całe Hu-Pe, chociaż gęsto zaludnione, dotąd jeszcze zupełnie pogański nosi charakter, gdyż na milion pogan wypada zaledwie 950 chrześcijan. Ludność pogańska pogrążona jest w zupełnej ciemności i przesiąkła najrozmaitszemi przesądami.

Poganie chińscy mają niesłychane mnóstwo różnorodnych bóstw, których posągi tem większe wzbudzają poszanowanie, im szkaraniejsze są i niezgrabniejsze. Niektóre z nich są tak olbrzymie a zarazem tak potworne, iż widok ich mimowolnym przejmuje dreszczem. Nadto poganie składają cześć prawie boską słońcu, zmarłym przodkom, cesarzowi, a nawet spróchniałym pniom drzewnym, w których podług ich mniemania przebywają duchy. Wierzą oni również w metempsychozę i dlatego nigdy nie zabijają zwierząt.

Wszedłszy pewnego razu do jakiejś pagody, spostrzegłem między innymi trzy ogromne dziki i dowiedziałem się, że je żywiono w pagodzie, ponieważ miały w nich przebywać dusze trzech najbogatszych pogan. Naturalnie bonzowie starają się we własnym interesie utrzymywać zabobony i przesady wpośród nieoświeconego ludu, który do najwyższego stopnia wyzyskiwać się daje. Niejednokrotnie w moich podróżach zdarzało mi się być świadkiem religijnych ceremonij, budzących mimowolny uśmiech politowania.

Najbardziej szanowaną przez pogan istotą jest szatan, któremu nieszczęśliwi ci ludzie zabobone składają hołdy, poczytując za wybrańca losu tego, kto choć raz w życiu zdołał go zobaczyć. Cóż więc dziwnego, że będąc przejęci tak głębokim szacunkiem i czcią względem szatana, patrzą oni niechętnym okiem na misjonarzy, chcących uwolnić ich z więzów tego księżęcia ciemności. Oszuści, europejskie potwory, truciele, dzieciobójcy i t. p., oto zwykłe epitet, jakimi krajowcy nas zaszczycają. Utrzymują też powszechnie, że wydzieramy oczy malutkim dzieciom i wysyłamy je do Europy, tam zaś wyrabiają się z nich okulary i lunety.

W roku ubiegłym wybuchło nawet w moim powiecie prześladowanie chrześcijan. Rozjątzeni poganie spalili chrześcijańskie domy, zamordowali kilku neofitów i usitowali porwać misjonarza, ale ten zdołał zawczasu uratować się ucieczką. W innym, bardziej nieco na północ położonym powiecie, ludność pogańska spaliwszy żywcem przeszło 100 dzieci, wychowywanych w katolickiej ochronce, napadła na misjonarza i rozszarpała go w kawały, drgające zaś serce nieszczęśliwego zostało pożarte przez jego morderców.

Należy jednak przyznać, że chociaż Chińczycy poganie nie wzdrygają się przed najdzikszym okrucieństwem, zostawszy wszakże chrześcijanami, odradzają się zupełnie i jakby nowymi stają się ludźmi. Codziennie rano i wieczorem każda chrześcijańska rodzina modli się wspólnie z gorącą pobożnością i wiarą, starając się zarazem żadnym grzechem nie obrazić Pana Boga przez całe swe życie. Względem misjonarza okazują neofici tak głębokie przywiązanie i szacunek, że witając go, klękają i schylają głowy aż do ziemi, jakby przed cesarzem.

Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, do missyi mojej zewsząd napłynęli wierni, aby spędzić jak najpobożniej piękną tę uroczystość i przystąpić do Stołu Pańskiego. W wigilię Bożego Narodzenia wszyscy poczciwi ci ludzie, zarówno mali, jak dorośli, spędzili cały wieczór w kościele, modląc się i przygotowując do świętych Sakramentów. Dopiero o wpół do dwunastej w nocy wyszedłem z konfesyonatu, o samej zaś północy rozpocząłem Mszę świętą, podczas której wszyscy wierni śpiewali religijne hymny. Piękna ta scena, przypominająca nabożeństwo w katakumbach w pierwszych wiekach Kościoła, wzruszyła mię do głębi.

W dalszym ciągu swego sprawozdania, misjonarz mówiąc o gorliwości neofitów, zaznacza między innymi, że w przeciągu całego wielkiego postu słuchają oni codziennie Mszy świętej i chyba tylko niebezpieczna choroba zdoła ich skłonić do opuszczenia tego nabożeństwa, nie tylko zaś starsi, ale nawet dzieci ścisły post zachowują. Wielką też wagę przywiązują wierni do Sakramentu Ostatniego Namaszczenia i skoro tylko stan chorego choć trochę się pogorszy, posyłają natychmiast po misjonarza. Jestto tem bardziej godne uznania, że niektóre chrześcijańskie wioski leżą w odległości kilku dni drogi od missyi. Sprowadzenie więc kapłana nieraz wiel-

kie przedstawia trudności, ale poczciwi chrześcijanie nie zniechęcają się tem wcale, dzięki zaś ich sumiennosci rzadko się zdarza, aby ktokolwiek z nich umarł bez przyjęcia świętych Sakramentów.

Stowarzyszenie św. Dzieciństwa również pomyślnie przynosi tam wyniki. »Od chwili mego przybycia do missyi — pisze tenże sam misjonarz — ochrzciłem przeszło 1600 dzieci. Z dorosłymi trudniejsza daleko jest sprawa, Chińczycy bowiem zapatrują się na wszystko z materyalnego punktu widzenia i dlatego też chcąc ich nawrócić, trzeba do materyalnych uciekać się środków. Środkami temi są przedewszystkiem jałmużny, bezpłatne rozdawanie lekarstw, obdarzenie uboższych krajowców chatą lub kawałkiem gruntu, tudzież jak najbardziej okazały obchód religijnych uroczystości. Wielu pogan skłania ciekawość do wzięcia udziału w naszym nabożeństwie, nie jeden z nich bowiem pragnie się przypatrzeć, jak Europejczycy wielbią swego Boga, ujrzawszy zaś piękne szaty i naczynia kościelne, woła: »Bóg ich jest dobry i litościwy, bo swym wyznawcom rozdaje skarby!« Podczas nabożeństwa poganie słuchają kazań i nieraz Słowo Boże niepostrzeżenie trafia im do serca.

Wszystko to są wprawdzie materyalne środki, ale wśród tak zmateryalizowanego ludu, jak chiński, one właśnie największy wywierają skutek. Niestety, wielu misjonarzy nie może z powodu ubóstwa posługiwać się temi środkami, gdyż własne finansowe ich zasoby są bardzo niewielkie, chrześcijanie zaś mają zaledwie tyle, ile wystarcza na ich utrzymanie. Ubogi ubiór kapłański, niewielki kielich, obraz i krucyfiks, oto wszystko, co mamy do naszych religijnych obrzędów. O! gdyby można było tu przenieść choćby jeden z najuboższych europejskich kościołów, ileż dusz sam jego widok przechyliłby na stronę świętej naszej wiary! Naturalnie są to czynniki odgrywające rolę mniej lub więcej ważną w ewangelizacji, których brak jednak nie powinien nas zniechęcać, gdyż w rękę Bożem daleko większe i potężniejsze spoczywają środki.

»W missyi mojej Błogosławiony męczennik Gabriel Perboyre beatyfikowany uroczyste w r. 1890 przez Ojca św. Leona XIII, spędził kiedyś jeden dzień pięknego swego życia. Dziś jeszcze żyje kilku chrześcijan z owej epoki, a między innymi pewien człowiek, który temu świętobliwemu misjonarzowi służył do Mszy świętej. Dotąd ludność tutejsza pamięta i opowiada rozrzewniające szczegóły o pobożności, łagodności, dobroci i cierpliwości młodego męczennika.

»Pisząc niniejsze słowa, siedzę na tem samem krześle, którego błogosławiony Gabriel używał, sypiam na tem samem łożu, na którym on spoczywał po całodziennych trudach i codziennie przy tym samym, co i on wówczas ołtarzu, odprowadzam Mszę świętą. Jakże wielką pociechą i otuchą napęlnia mą duszę piękne to wspomnienie!

»Dotąd jeszcze we Francji żyje jeden z rodzonych braci Błogosławionego, kapłan i zakonnik, w roku zaś ubiegłym siostra jego przybyła na czas pewien do naszej missyi, w celu zwiedzenia miejsc, w których Gabriel Perboyre żył, cierpiał i umarł.

Afryka. — Niższa Zambeza. Missya zambezka poniosła w bieżącym roku bardzo dotkliwą stratę przez śmierć dwu najdzielniejszych i najczynniejszych misjonarzy. Oto zaledwie parę miesięcy temu zmarł na febrę przełożony missyi O. Courtois, obecnie dochodzi nas wiadomość o śmierci O. Stefana Czimmermana. Przed kilku laty misjonarz ten bawił także i w naszych stronach, werbując pomocników do apostołskiej pracy.

O. Czimmerman urodził się w r. 1849 na Węgrzech w okolicy Zipsu. Ukończywszy w Rzymie teologię był czas niejaki kierownikiem seminarium duchownego w Waitz, następnie w r. 1879 wstąpił do naszego zakonu i pracował w nim jako kaznodzieja i nauczyciel religii w Preszburgu i Kaloczy. Chociaż w Zambezie pracował dopiero od r. 1885, jednakowoż w rocznikach tamtejszej missyi imię jego niezatartem jest zapisane głoskami.